Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Ankieta: JAK UCZYLI SIĘ WYBITNI WSPÓŁCZEŚNI PISARZE POLSCY?

WIADOMOŚCI LITERACKIE

Cena 80 groszy

TYGODNIK

Dziś 6 stron

Oddziały „Wiadomości Literackich"

w Łodzi, Narutowicza 14

w Paryżu, 123, boul. St. Germain, Księgarnia Gebethnera i Wolffa

Cena numeru za granicą 3 fr. franc. (0,15 dol.)

Nr. 1 (105) Warszawa, Niedziela 3 stycznia 1926 r. Rok III

Przypominamy Szanownym Czytelnikom, że czas odnowić prenumeratę na kw. I 1926 r. (zł. 6.50 w kraju, 2 dol. za-granicą, konto w P. K. O. 8.515).—Zeszyt „Wiadomości" w prenumeracie kosztuje tylko 50 gr., nabyty oddzielnie 80 gr.

Kto zna naprawdę poezję polską?

Nowy konkurs „Wiadomości Literackich"

20 nagród pieniężnych i książkowych

Konkurs „Wiadomości Literackich" ma na celu wykazanie znajomości poezji ojczystej wśród czytelników naszego pisma. Polega on na trafnem odgadnięciu nazwisk dwudziestu autorów polskich, z których dzieł przytaczamy niżej krótkie fragmenty. Warunki konkursu brzmią jak następuje:

1. Przytoczone fragmenty pochodzą z utworów poetyckich nieżyjących wybitnych autorów polskich, przyczem każdy pochodzi z dzieła innego autora; są one ponumerowane cyframi porządkowemi od 1—20.

2. W odpowiedziach należy wskazać, z jakiego autora pochodzi dany fragment, przyczem podanie tytułu dzieła nie jest konieczne. Przy nazwisku autora należy podać numer porządkowy ogłoszonego fragmentu; bez wskazania tego numeru odpowiedź jest nieważna.

3. Odpowiedzi należy nadsyłać jedynie drogą pocztową pod adresem redakcji „Wiadomości Literackich" (Warszawa, Złota 8 m. 5) do 24 stycznia b. r. (obowiązuje data stempla pocztowego) włącznie, w którym to dniu upływa termin konkursu. Do odpowiedzi winno być dołączone w zapieczętowanej kopercie nazwisko i adres biorącego udział w konkursie, przyczem ta druga koperta odpieczętowana zostanie tylko w razie przyznania nagrody wysyłającemu.

4. Nagrody będą przyznane za najtrafniejsze odpowiedzi; najmniejsza ilość odgadniętych nazwisk wynosić musi dziesięć. W razie kilku równowartościowych cyfrowo odpowiedzi nagroda będzie przyznana odpowiedzi wcześniejszej, przyczem obowiązuje data stempla pocztowego. W celu zrównania szans czytelników zamiejscowych odpowiedzi, wysłane przed dn. 3 stycznia b. r., będą uważane za wysłane dopiero w dn. 3. W razie kilku odpowiedzi równoczesnych nagrody będą rozlosowane.

5. I nagroda wynosi zł. 200.—, płatnych natychmiast po ogłoszeniu wyników konkursu w nr. 5 „Wiadomości Literackich" z dn. 7 lutego b. r. Na następne nagrody składa się szereg cennych wydawnictw książkowych, ofiarowanych łaskawie przez firmy księgarskie. Szczegółowa lista tych nagród zostanie ogłoszona w numerze następnym „Wiadomości"

1

Dobra myśli, której nie przywabi,
Choć kto ściany drogo ujedwabi,
Nie gardź moim chłodnikiem chróścianym,
A bądź ze mną, trzeźwym i pijanym.

2

A kiedy mówił pacierz tajemniczy
I o potomstwo wielkie prosił ducha,
To krzyczał z piersi — tak jak morze krzyczy,
A Bóg go słuchał, tak jak morze słucha.

3

Jak wielorakie świecą na tem błoniu kwiaty,
Jedne szumne w jaskrawych dowcipu ozdobach,
Drugie przyjaźń sadziła. te wzrastają z laty,
Inne żałośnie więdnąć zdają się na grobach,
W których są pochowane wiara i nadzieje.

4

Człek żyje ponad własne siły,
Gdy w trudach pędząc znojne chwile,
Ma niepotrzebnych potrzeb tyle,
Nato: ażeby do mogiły
Cztery mu deski wystarczyły,
I sucha piasku garść w mogile.

5

Widziałem — tam na Piasta majestacie
Żałoba w czarnej rozsiadła się szacie;
A pod wspaniałem Popiela zwaliskiem
Dzieci przedwczesną starością zgrzybiałe,
Siadłszy nad zgasłem wolności ogniskiem,
Baśniami budzą oniemiałą chwałę!

6

A w onej ziemi to znów najpierwsze,
Co ci od pieluch było najszczersze,
Więc wiara twoja, więc dom dziadowy,
Więc one wdzięczne, stare dąbrowy,
Więc i mogiły, gdzie ojców kości:
Toć twoje skarby, toć twe miłości,
Bo wszystko minie, a to zostanie.

7

Tych ja tu nie wspominam, ale mówię o tych,
Którzy się do małżeńskich mają związków złotych,
Iż podczas godów ślubnych, i samych, i gości,
Prawie do niesłychanej przywodzisz lekkości,
Kędy ja krotofile wwodzę i uciechy,
Saltarelle, muzykę, i wzajemne śmiechy,
Tam ty wnosisz zaloty, tam rankor prowadzisz,
I twardą pijatyką godowniki wadzisz.

8

I spojrzał w niebo biedny wygnaniec
I w ciemne bezdno spienionych fal:
Niebo wre łuną, tu morza taniec...
Osada płynie z modlitwą w dal.

9

Morze! czemuż ten, co cię pokochał namiętnie,
Jak pierwszą miłość duszy, pamięć twoją chowa,
I wspomina o tobie z uniesieniem, smętnie?
We snach ku twoim brzegom zwraca mu się głowa,
I serce na szmer fali podnosi się twojej,
A w oczach wciąż twa wielkość i piękność mu stoi?

10

Błądziłem w parku rozmarzony...
Wiewały górą mgieł welony,
W echu się dwoił tryl słowika,
Chwilami grała drzew muzyka,
Żenił się w gąszczach mrok z jasnością,
I świat był ciszą i miłością.

11

Zdało się, że patrzyła wzrokiem pełnym żalu
Za czemś, co stało się pomimo woli —
Prosiła: nie wspominaj o tem, co mnie boli.
Potem odeszła prędko — ja nie rozumiałem
Z tego wiele — zdziwiony — dalej skoro czytać chciałem —
Rzecz dziwna — w miejscu, gdzie karta zroszona
Łzą, przeczytałem: miłość zawiedziona...

12

A ty skąd wziąłeś na te skrzypce deski,
Jeżeli nie z lipy bogdaj czarnoleskiej?
I smyk twój jest-że czarodziejstwem żywy,
Z białego konia arabskiego grzywy?
I struny twoje — czy ty ręką lewą
Z pod serca wsnułeś na skrzypców twych drzewo?
Czy posłannikiem idziesz od świtania?
Gdzie wzrok jest z światłem, z uśmiechami łkania?

13

O, nie patrz na mnie!... Jam pełna lęku...
Z amforą wonnych olei w ręku,
Idę pomazać twe stopy znojne,
Niosę im nardu wonie upojne,
Żar pocałunków i łez mych strugi...
I klęcząc warkocz rozplatam długi,
I z stóp twych kornie biorę na włosy
Łez moich zdroje i oliw rosy.

14

Kto z Żydy handel wiedzie, taki będzie onym
Kiedyś w egipskiem morzu topniem, Faraonem.
Przepadł Farao w wodzie i z wojskiem, a oni
Zabrawszy jego fanty, z swej wybrnęli toni.

15

Przyjaciele! siądźmy w cieniu,
Siądźmy w cieniu tej topoli,
Orzeźw słodka w odpocznieniu,
Daj się ucieszyć dowoli,
Niech czują rozkosz wzajemną,
Gdy ja z tobą, a ty ze mną.

16

Szlachetne trudy wiedzy, prawd i światła chciwej,
Mistrzostwa sztuki twórcze, pieśni szczytne tony,
Zabiegi pracy płodnej i poczciwej, —
Ach, wszystko chłonie wojny wir szalony!
I duch się pyta w trwodze rozpaczliwej:
Czy pięść zastąpi w końcu Zakon objawiony?...

17

Cicho! Oto jej księżyc srebrne bajki plecie
I majaczy tam dziwy niebywałe w świecie...
Rozbudza duchy białe, co w szczelinach drzemią
I rade o północy hasają nad ziemią...
Zroszonym mchom rozplata brylantowe włosy
I jako dziwożona łechce senne wrzosy.

18

Ściśnij mi rękę, jak codzień bywało,
Gdyś mnie na krótką chwilę porzucała,
Wiedząc, żeś do mnie wnet powrócić miała —
Na myśl, żem zniknął — bo ze mnie zostało
Przy tobie wszystko, co godne miłości,
Lecz co nas zspala w nieśmiertelnych dwoje —
To, co nie z prochu — ty wiesz: serce moje!

19

I znowu wszystko wraca do spokoju;
Tylko jak dawniej szepcą z sobą góry
Podmuchem wiatru i szeptaniem zdroju.
I znowu płynie cicha pieśń natury
W gwiaździste sfery, w przestrzeń nieskończoną,
Gdzie wszystkie pieśni zdążają i toną,
I tam się wiąże, i zlewa, i brata
Z całą harmonją zaziemskiego świata.

20

Ewa szła... Nagle, jak złota kolumna,
Stanęła wszystka w purpurze i złocie,
W błękit płynąca... Miłość poszumna
Pieśnią... w bluszcz, róże strojna i stokrocie...
W pierścienie słońca skuta, jednak dumna,
Że dźwiga niebios kopułę i krocie
Gwiazd roziskrzonych i srebrne księżyce...
A czołem sięga aż przed boże lice...

Zofja Morstinowa

Niema złego coby na dobre nie wyszło

Prawdziwą sensacją są pojawiające się od jakiegoś czasu w „Głosie Narodu" artykuły z zakresu krytyki literackiej. Artykuły te są po największej części podpisywane przez p. Pusłowskiego, czasem przez p. K. H. Rostworowskiego, czasem są anonimowe, ale — niestety — odpowiedzialność za nie musi jednak spadać na p. K. H. Rostworowskiego jako na literackiego kierownika tego pisma. Kilkakrotnie zwracano już uwagę na ordynarny i wyzywający ton tych artykułów, lecz nie podkreślono dotąd wprost oszczerczej ich działalności, nie podkreślono, że w szerokich kołach bezkrytycznej publiczności szarpią one w krzywdzący sposób dobrą sławę wielu ludzi, że tego rodzaju artykuły nie są krytyką, ale pamfletami, że nie są sądzeniem czyjejś działalności, ale osobistemi, pełnemi nienawiści napaściami.

Dzieło, autora, — wolno krytykować zawsze, wolno krytykować ostro, nawet bezlitośnie, ale człowieka, jego charakteru, jego życia prywatnego, — tykać nie wolno. Wolno napisać, że czyjaś książka jest głupia, zła, licha, ale nie wolno o nikim pisać, nie mając na to dowodów, że nie ma zasad, że miał mętną przeszłość. Wolno potępiać czyjeś artykuły, nie wolno jednak bez najmniejszych podstaw rzucać brudnych insynuacyj na jego życie prywatne. Nie wolno w piśmie, mającem pretensję do nazwy organu katolickiego, wykpiwać i ośmieszać osób, powszechnie znanych z gorliwej katolickiej i społecznej działalności. Nie wolno jako broni polemicznej wskazywać kija i szpicruty, nie wolno niemi grozić ludziom znanym w kraju z nieposzlakowanego charakteru i gorliwej, kulturalnej pracy na niwie polskiego dziennikarstwa. Nie wolno przedewszystkiem w imię religji ziać jadem i nienawiścią, — bo tego rodzaju postępowania zabrania katechizm, nazywając je szkodzeniem bliźniemu na sławie, szerzeniem nienawiści i oszczerstwem.

Ale — jak powiada przysłowie — niema złego coby na dobre nie wyszło, to też i te artykuły mają swoje dobre strony. Nieraz zauważyłam z przykrością, że krytyka nasza ma skłonność do schodzenia z objektywnego badania utworów literackich do wycieczek i przytyków osobistych, że chcąc podnieść zasługi i talent jednego pisarza, — stara się umniejszyć i unicestwić innych. Otóż myślę, że „Głos Narodu" tak ten system krytyki osobistej i napastliwej przesadził i przejaskrawił, że będzie to chyba dla nas korzystną, a ufam — i skuteczną, „leçon de chose", będzie przykładem, jak krytyk pisać nie trzeba, jak polemizować nie wolno.

Artykuły „Głosu Narodu" dowiodą raz jeszcze, jak właściwie słabą bronią jest praca niszczycielska i burząca, jak system plwania na drugich nie prowadzi do celu. Pokaże nam jasno, że aby nadać życie swoim postulatom i hasłom, trzeba brać w rękę cegły i kielnię, a nie szarpiący osęk, który wiele już przysporzył zniszczenia, ale niczego pozytywnego jeszcze nie zbudował.

Sądzę, że artykuły „Głosu Narodu" pokazały nam, jak złym doradcą jest nienawiść, jak śliska droga od osobistych niechęci, tanich żartów kosztem drugich — do zupełnego zaślepienia, przebrania miary i poprostu ordynarności. I nie wiem, ale zdaje mi się, że te artykuły jako przykład odstraszający zrobiły już swoje. Naprzód znaczną ich część pomijali zaczepieni milczeniem, a trzeba przyznać, że jest to jedyna godna takich napaści odpowiedź, a i w tych nielicznych artykułach, które z „Głosem Narodu" polemizowały, czuć było w miarę wzrastania gwałtowności ataków ton coraz to poważniejszy, coraz bardziej umiarkowany, coraz mniej uderzający w osobiste aluzje, przycinki i złośliwe dowcipy. Z przyjemnością też muszę stwierdzić, że w żadnej z replik, dawanych czy to w „Czasie" czy w „Wiadomościach Literackich", nie było żadnych oszczerczych insynuacyj co do charakteru i prywatnego życia p. Pusłowskiego i p. Rostworowskiego, że przeciwnie, — wszystkie te odpowiedzi, potępiając sposób polemiki, odnosiły się zawsze z uznaniem i szacunkiem do talentu p. K. H. Rostworowskiego, do czystego i wzniosłego idealizmu jego dotychczasowej działalności.

I sądzę, że ten wpływ nie będzie przemijający. Że przez długi czas każdy, odczytując bruljon swego artykułu krytycznego czy polemicznego, będzie z trwogą śledził, czy nie brzmi w nim nuta choćby zdaleka przypominająca ton artykułów „Głosu Narodu", i wykreśli z nich pośpiesznie ustępy, które schodzą z objektywnego stanowiska krytyki i kulturalnej, rzeczowej polemiki.

I ufam, że ta niepojęta kampanja przeciwko szeregowi ludzi nie tylko nie będzie zarzewiem nienawiści i złym przykładem, ale przeciwnie — wyda owoce miłości i umiarkowania, — że jej wspomnienie powstrzyma nieraz nasze pióro od złośliwego żartu lub nieuzasadnionego zarzutu, — że przez kontrast stanie się pobudką do czynnej i pozytywnej pracy na polu krytyki literackiej, do pracy, w której przyświecać nam będzie umiłowanie prawdziwego dobra i piękna, a nie niechęć i nienawiść, — gdzie odpowiedzią na cudze hasła będą hasła nasze, a nie rzucanie błotem na przeciwnika. „Głos Narodu" nauczy nas przedewszystkiem, jak hamować i kontrolować nasze osobiste uprzedzenia i antypatje, jak szanować choćby w potępianym pisarzu jego godność i honor, słowem — nauczy nas krytykować, a nie ośmieszać i oczerniać.

A jeżeli — co daj Boże — artykuły te oduczą nas maczać pióra w żółci, nauczą nas sądzić spokojnie i polemizować kulturalnie, to trzeba przyznać, że więcej dobrego niż złego zrobiły.

Jak się uczyli współcześni wybitni pisarze polscy?

Odpowiedzi na ankietę „Wiadomości Literackich"

1. Jak się Pan uczył w szkole średniej? 2. Czem się Pan najbardziej interesował? 3. Jaki był Pana stosunek do literatury?

Wacław Grubiński

W szkole uczyłem się bardzo źle, w domu dosyć dobrze. Mój ojciec, spostrzegłszy, że szkoła rosyjska daje uczniowi niewiele, kazał mi zajęcia szkolne traktować formalnie, jedynie dla uzyskania oficjalnego „świstka papieru", poważnie zaś studjowałem w domu pod kierunkiem prywatnych nauczycieli. W szkole rządowej podczas lekcji najczęściej odrabiałem pod ławką ćwiczenia, zadane mi przez domowego nauczyciela lub nauczycielkę. Zresztą dla wszystkich nauczycieli, szkolnych i domowych, byłem nieznośny: rozsadzał mnie temperament, co wyglądało na brak wytrwałości i pracowitości; we wszystkich zagadnieniach, nie wyłączając matematycznych, odkrywałem, przez szaloną wrodzoną wesołość, jeżeli nie słabe strony, to strony śmieszne; zadawałem dzi-

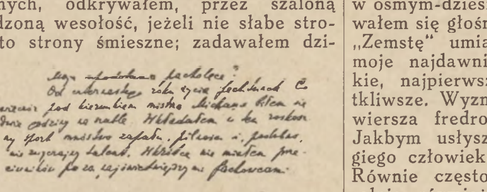

kie pytania, na które nie mógł mi odpowiedzieć zadowalniająco żaden nauczyciel, co mnie niewymownie bawiło. To też literalnie co kilka dni lekcje kończyły się awanturą. Dotknięty nauczyciel oskarżał mnie przed rodzicami o brak powagi, o brak zamiłowania do nauki, no i naturalnie o zarozumiałość, gdy mi nie wystarczały jego liche argumenty. Moje kontrargumenty były traktowane jako bluźnierstwa bardzo zepsutego chłopca, który „za wiele chce wiedzieć".

Moje upodobania pochlejce?

Od czternastego roku życia — fechtunek. Co wieczór pod kierunkiem mistrza Michaux biłem się dwie godziny na szable. Wkładałem w ten rozkoszny sport mnóstwo zapału, pilności i, podobno, niezwyczajny talent. Wkrótce nie miałem przeciwników poza najświetniejszymi fachowcami. Mniej więcej w tym samym czasie wypadkiem wpadła mi do rąk „Socjologja" Spencera. Przerwałem czytanie mickiewiczowskich „Dziadów". Inteligencja angielskiego autora, jego erudycja i jasność wykładu wprawiły mnie w zachwyt. Pożarłem to wielkie dzieło, jak się pożera interesującą powieść. Żałowałem tylko, że się spotkałem ze Spencerem tak późno. Gdy się pomyśli, że John Stuart Mill w siódmym roku życia przeczytał, i to w oryginale, sześć dialogów Platona!... Coprawda — poto rozumieć w dzieciństwie Platona, żeby w wieku dojrzałym dojść tylko do utylitaryzmu!...

W szkole uczyłem się coraz gorzej, a domowi nauczyciele również byli ze mnie coraz mniej zadowoleni. Szukałem wiedzy poza nimi. Wspominam dziś z uśmiechem, że w jakiś rok czy może w dwa lata po „odkryciu" „Socjologji" spencerowskiej studjowałem zachłannie, gorączkowo i jednocześnie: Kartezjusza, Spinozę i Schopenhauera, niejako na wagarach, sam, bez niczyjej pomocy, bo na wszystkich pomocach gorzko się zawiodłem.

Mój stosunek do literatury?

Jeszcze przed pójściem do szkoły, w ósmym-dziesiątym roku życia, rozczytywałem się głośno we Fredrze. Prawie całą „Zemstę" umiałem na pamięć. Jest to moje najdawniejsze umiłowanie literackie, najpierwsze, i dlatego może najtkliwsze. Wyznaję, że nie mogę usłyszeć wiersza fredrowskiego bez wzruszenia. Jakbym usłyszał głos niezmiernie drogiego człowieka. Poprostu serce mi taje. Równie często, jak „Zemstę", i, naturalnie również głośno, czytywałem sobie „Odludków i poetę", ale, pamiętam, odczuwałem tę komedję jako dramat. Pamiętam, że dzieciącą moją głowę wprawiły w długą i ponurą zadumę szydercze słowa „odludka", charakteryzującego osobliwości miejscowe:

„Szubienica ze sztuczną obręczą,
Gdzie większe łotry mniejszych łotrów męczą".

I nieraz w łóżku przed zaśnięciem deklamowałem bonie:

„Pierwszy mój uśmiech usta do kobiety wzruszył,
Pierwszą łzę moją oddech kobiety osuszył,
Pierwsze słowo jej mowa uczyła pieszczona,
Do kobiety-m najpierwej wyciągnął ramiona!"

Później, znacznie później, przekonałem się, niestety, że kobieta rzadziej łzy osusza, niż to utrzymywał poeta, niemniej jednak wyciągałem do niej ramiona, ilekroć była powabna, bowiem piękna kobieta w ramionach jest, mimo wszystko, jedynym naprawdę [illegible] nym majątkiem mężczyzny. Wszystkie inne bogactwa są nieskończenie mniej uchwytne.

Adolf Nowaczyński

W gimnazjum uczyłem się nierównomiernie.

W pewnych latach pilnie, w innych gorzej. „Trudne" były klasy trzecia i siódma, i to do tego stopnia, że repetowałem jedną i drugą. Pomimo tego maturę zdałem mając lat osiemnaście. Przez całe gimnazjum zawsze „celująco", „chwalebnie" z historji powszechnej, historji polskiej, z polskiego, łaciny i greki, — a bardzo fatalnie i słabo z matematyki, fizyki, „logiki i propedeutyki". Ulubionym

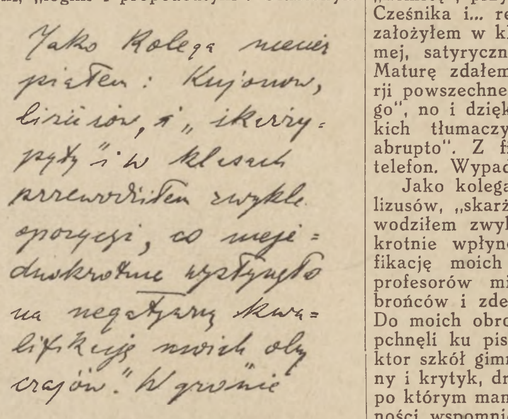

„przedmiotem": botanika. Nienawistnemi: algebra, trygonometrja, geometrja, logarytmy i t. p. W klasie trzeciej przeczytałem po raz pierwszy „Pana Tadeusza" i napisałem pierwszą nowelę (w gimnazjum w Wadowicach). W klasie piątej napisałem pierwsze studjum literackie krytyczne o „Wiesławie" Brodzińskiego, które najukochańszy, najmilszej dla mnie pamięci prof. Szafran zakwalifikował do głośnego odczytania przed całą klasą. W klasie szóstej napisałem krótką pracę o Fryderyku Wielkim, którą z gorącem uznaniem przyjął nieodżałowanej pamięci pedagog i patrjota, prof. Miklaszewski (gimnazjum Nowodworskie św. Anny w Krakowie). Będąc uczniem klasy siódmej (po raz wtóry) w gimnazjum w Rzeszowie, zainicjowałem tamże i urządziłem z kolegami pierwszy w Galicji gimnazjalny „wieczorek" ku uczczeniu Słowackiego. Tamże tegoż samego roku odegraliśmy na majówce Fredry „Zemstę", przyczem mnie przypadła rola Cześnika i... reżysera. Pierwsze pisemko założyłem w klasie piątej, drugie w siódmej, satyryczne; wyszło pięć numerów. Maturę zdałem dzięki polskiemu, historji powszechnej, historji „kraju rodzinnego", no i dzięki temu, że tragików greckich tłumaczyłem „na wyrywki", „ex abrupto". Z fizyki dostałem zapytanie: telefon. Wypadło fatalnie.

Jako kolega nie cierpiałem: kujonów, lizusów, „skarżypyty", i w klasach przewodziłem zwykle opozycji, co niejednokrotnie wpłynęło na negatywną kwalifikację moich „obyczajów". W gronie profesorów miewałem fanatycznych obrońców i zdecydowanych antagonistów. Do moich obrońców i tych, którzy mnie pchnęli ku pisarstwu, należał też inspektor szkół gimnazjalnych i wybitny uczony i krytyk, dr. German (ojciec Juljusza), po którym mam najmilsze, pełne wdzięczności wspomnienie.

Wogóle czasy studenckie, szkolne, gimanzjalne przypominam sobie zawsze z pewnem rozrzewnieniem, lubością i tęsknotą.

Już w czwartej klasie jeden z profesorów, zamykając mnie na trzygodzinny karcer, wyrzekł wobec kolegów pamiętne mi: „Ty, Nowaczyński, albo będziesz wisiał kiedyś, albo będziesz bardzo wielki i sławny".

Dotychczas nie spełniło się ani jedno ani drugie.

Marja Pawlikowska

Uczyłam się prywatnie, w domu, i bardzo mało. Nie zdawałam żadnych egzaminów, nie bywałam na wykładach ani odczytach. Czułam się dobrze tylko

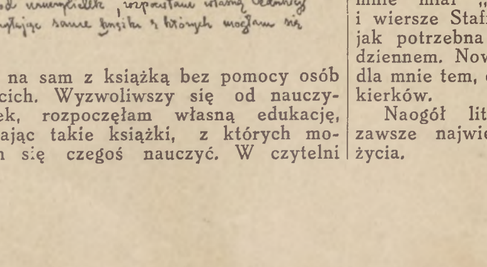

sam na sam z książką bez pomocy osób trzecich. Wyzwoliwszy się od nauczycielek, rozpoczęłam własną edukację, czytając takie książki, z których mogłam się czegoś nauczyć. W czytelni przy ulicy św. Jana wypożyczałam tygodniowo po siedem książek treści naukowej i filozoficznej. Miałam różnych nauczycieli, którzy się kolejno zmieniali. Najpierw Maeterlinck, którego książka „La sagesse et destinée" wydała mi się szczytem wszystkiego. Potem mi się Maeterlinck sprzykrzył, i przestałam go kochać — przyszedł Nietsche, a potem ukochany do dzisiaj Schopenhauer. Z literatury naszej największy wpływ na mnie miał „Pan Tadeusz", „Popioły" i wiersze Staffa, które mnie przekonały, jak potrzebna jest poezja w życiu codziennem. Nowy tom wierszy Staffa był dla mnie tem, czem dla dziecka pudło cukierków.

Naogół literatura zajmowała mnie zawsze najwięcej i była mi radością życia.

Władysław Orkan

1. W szkole średniej uczyłem się średnio. Opinja o mnie profesorów streszczała się w tak częstem: zdolny, ale próżniak.

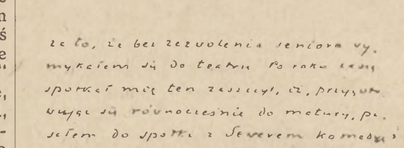

2. Specjalnych zainteresowań szkolnych nie miałem. Z przedmiotów lubiłem historję Polski.

3. Poza szkołą czytałem bardzo dużo

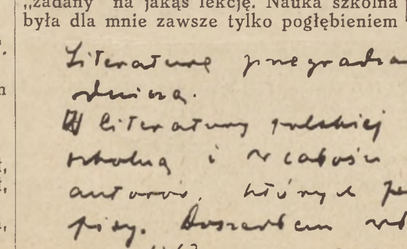

i utrwaleniem tego, com już wiedział. To sprawiło, żem się dla szkoły niczego nie potrzebował uczyć, a zawsze otrzymywałem stopnie i świadectwa celujące. Z religji, łaciny, greki i polskiego dawano mi nawet, począwszy od klasy czwartej, celująco z odznaczeniem, ale to nie było bynajmniej dowodem mojej predylekcji do tych właśnie przedmiotów. Po maturze mój nauczyciel przyrody, dr. Zaręczny, radził mi poświęcić się — zoologji, jako że podobno zauważył we mnie specjalne uzdolnienie do nauk przyrodniczych. Ale mnie najbardziej pociągała greka i łacina, może dlatego, żem przez sześć lat przeczytał w całości wszystkie dzieła autorów, których wyjątki stanowią przedmiot nauki szkolnej.

O ile w domu, w spokoju i skupieniu, rozczytywałem się w klasykach, o tyle podczas godzin szkolnych, zostawiany w spokoju przez nauczycieli, pochłaniałem pod ławką jeden po drugim pomarańczowy tomik Reclama „Universalbibliothek". Pamiętam, że najpierw czytałem systematycznie wielkie epopee świata: „Nibelungów", „Gudrun", „Raj utracony", „Orlanda", „Jerozolimę wyzwoloną", „Luzjadów", „Mesjasza"... Potem przekłady dramatów hiszpańskich, francuskich, włoskich, angielskich — wszystko z Reclama. Literaturę przegradzałem lekturą przyrodniczą.

Z literatury polskiej szedłem za okazją szkolną i w całości czytywałem sta-

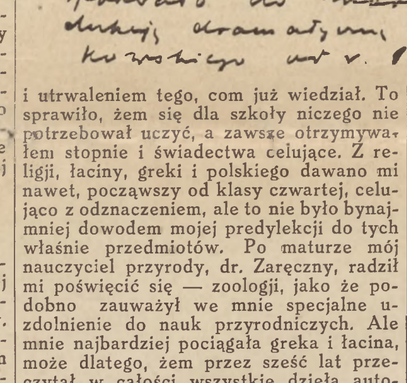

rych autorów, których próbki zawierały wypisy. Doszedłem właśnie do literatury r. 1863, gdy mnie krakowskie „Życie" porwało do moderny z r. 1896. Produkcję dramatyczną znałem z teatru krakowskiego od r. 1886. Bo tak się złożyło, że z synem bileterki z galerji zanosiłem jej parę razy na tydzień kolację i parę razy na tydzień przez cały czas trwania szkoły średniej chodziłem na przedstawienia. Pod tym wpływem napisałem w klasie siódmej i ósmej parę groteskowych dramatów wierszem — na tematy antyczne: „Cyklop", „Powrót Odyssa"... Ale więcej papieru zużyłem na referaty literackie dla prof. Zawilińskiego. Marzyłem o tem, że kiedyś będę tworzył wiersze, dramaty, powieści, ale na to nigdy nie starczyło czasu. Zamiast zostać literatem, zostałem uczonym.

Tadeusz Sinko

Zaproszenie do udziału w szkolnej ankiecie „Wiadomości Literackich" pozwala mi przenieść się na chwilę w kraj młodości i odświeżyć najprzyjemniejsze wspomnienia: zaspokajania ciekawości i sycenia głodu wiedzy.

Gdym z „Bratniej Pomocy" gimnazjum III w Krakowie przyniósł do domu coś dziesięć podręczników na klasę pierwszą, czułem się w posiadaniu skarbu i zabrałem się żywo do jego eksploatowania, nie czekając, aż ten lub ów ustęp będzie „zadany" na jakąś lekcję. Nauka szkolna była dla mnie zawsze tylko pogłębieniem

i utrwaleniem tego, com już wiedział. To sprawiło, żem się dla szkoły niczego nie potrzebował uczyć, a zawsze otrzymywałem stopnie i świadectwa celujące. Z religji, łaciny, greki i polskiego dawano mi nawet, począwszy od klasy czwartej, celująco z odznaczeniem, ale to nie było bynajmniej dowodem mojej predylekcji do tych właśnie przedmiotów. Po maturze mój nauczyciel przyrody, dr. Zaręczny, radził mi poświęcić się — zoologji, jako że podobno zauważył we mnie specjalne uzdolnienie do nauk przyrodniczych. Ale mnie najbardziej pociągała greka i łacina, może dlatego, żem przez sześć lat przeczytał w całości wszystkie dzieła autorów, których wyjątki stanowią przedmiot nauki szkolnej.

O ile w domu, w spokoju i skupieniu, rozczytywałem się w klasykach, o tyle podczas godzin szkolnych, zostawiany w spokoju przez nauczycieli, pochłaniałem pod ławką jeden po drugim pomarańczowy tomik Reclama „Universalbibliothek". Pamiętam, że najpierw czytałem systematycznie wielkie epopee świata: „Nibelungów", „Gudrun", „Raj utracony", „Orlanda", „Jerozolimę wyzwoloną", „Luzjadów", „Mesjasza"... Potem przekłady dramatów hiszpańskich, francuskich, włoskich, angielskich — wszystko z Reclama. Literaturę przegradzałem lekturą przyrodniczą.

Z literatury polskiej szedłem za okazją szkolną i w całości czytywałem sta-

rych autorów, których próbki zawierały wypisy. Doszedłem właśnie do literatury r. 1863, gdy mnie krakowskie „Życie" porwało do moderny z r. 1896. Produkcję dramatyczną znałem z teatru krakowskiego od r. 1886. Bo tak się złożyło, że z synem bileterki z galerji zanosiłem jej parę razy na tydzień kolację i parę razy na tydzień przez cały czas trwania szkoły średniej chodziłem na przedstawienia. Pod tym wpływem napisałem w klasie siódmej i ósmej parę groteskowych dramatów wierszem — na tematy antyczne: „Cyklop", „Powrót Odyssa"... Ale więcej papieru zużyłem na referaty literackie dla prof. Zawilińskiego. Marzyłem o tem, że kiedyś będę tworzył wiersze, dramaty, powieści, ale na to nigdy nie starczyło czasu. Zamiast zostać literatem, zostałem uczonym.

Marja-Jehanne Wielopolska

1. Uczyłam się w domu. Guwernantka Francuzka, guwernantka Niemka, profesor gimnazjalny do polskiego i katecheta do religji.

Zdecydowanem tłem tego okresu był zatarg polityczny guwernantki Niemki z guwernantką Francuzką, oraz zatarg etyczno-teologiczny profesora gimnazjalnego z katechetą.

Całem sercem trzymałam z Francuzką, ponieważ nie wyrywała mi nigdy włosów przy czesaniu, co się zdarzało Niemce. Również całem sercem trzymałam

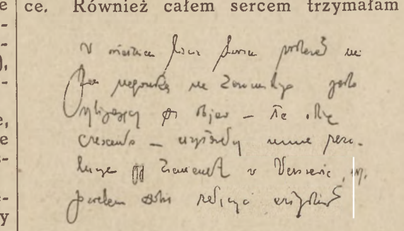

z księdzem, bo miał głos cichy i śliczne obrazki, dawane w nagrodę. Może być, że tu oto szukać należy pierwszego kamienia węgielnego pod mój autorament polemiczny. Fundament naukowy, niestety, szwankował niepomiernie. Zostałam nieukiem, pływającym zuchwale po rozlewnem morzu... samouctwa. Do lat dwunastu nie umiałam słowa po polsku i słabo po niemiecku. Myślałam, śniłam, pisałam i mówiłam tylko po francusku. Gniewałam się zaś, złościłam i fulminowałam tylko po angielsku.

2. Poza palącą kwestją stajni, źrebaków i psów oraz nie zawsze dojrzałych jabłek i winogron, — tylko jedna mnie kwestja zajmowała, mianowicie religja. Pierwszym też utworem, który nazwać muszę poetyckim (w wieku lat jedenastu-dwunastu), było ułożenie reguły zakonnej, wzniosłej nad wyraz, ale do tego stopnia straszliwej w rygorach, że już z nowicjatu żadna postulantka żywcemby nie wyszła. Pisałam ją poszcząc, leżąc krzyżem i nosząc ostre kamyki w trzewikach. Na list mój, pełen pokory i błędów ortograficznych, Stolica Święta nie odpowiedziała wcale, i reguła ta, któraby ogromne rzesze męczenników przysporzyła ludzkości, nie ujrzała nigdy światła dziennego. Uchodząc w oczach Rodziców za anioła, zatruwałam życie guwernantkom, furmanom i pokojówkom, niszczyłam truskawki ogrodnikowi i wylewałam śmietanę klucznicy przez okno, ciesząc się jej rozpaczą. Flagellantyzm stosowany był więc nie tylko indywidualnie, a zainteresowanie czemkolwiek — powierzchowne i płoche.

3. Właściwie od początku mego istnienia literatura była bezświadomie dominującym u mnie czynnikiem. Układanie komedyj, któreśmy grywały z niezbyt wielkiem, coprawda, powodzeniem — pisanie nowelek do niemieckiego „Schutzengla" (dziewięć lat miałam, gdy wydrukowano pierwszą) — tworzenie zakonnych reguł i ascetycznych modlitw, a w końcu — od trzynastego roku życia — zapamiętanie się zupełne w literaturze. W trzynastym roku życia bowiem zakuto mnie w gips dla ciężkiej choroby stawu, na kilka lat, — żyłam już tylko książką zatem i nauką. Literatura była pod znakiem oczywiście Sienkiewicza. Na nowy świat otworzyło mi oczy znacznie później dopiero „Rozdziobią nas kruki" Żeromskiego. Pielęgniarka moja, poczciwa Amelka, córka kominiarza, która — tak jak ja — pełna była „natchnienia poetyckiego", pisała też na wyścigi ze mną dziesięciotomowe powieści, zimnem milczeniem przyjmowane w redakcjach, najmniej nawet wybrednych. Nasze wspólne wzloty parnasowe odbiły się na mojem zdrowiu raczej fatalnie, w literaturze jednakowoż, Bogu dziękować, nie pozostawiły żadnego śladu. Pierwszą moją historyczną nowelę zamieścił polityczny „Przegląd Lwowski, poczem drukował szereg następnych elukubracyj poetycznych i naukowych, które coprawda nie przynosiły mu zaszczytu, lecz mnie posłużyły walnie do zdystansowania poczciwej Amelki, córki kominiarza. W cichym już odtąd podziwie, kładła mi kompresy. Podziw ten w stosunku do mnie pozostał zjawiskiem odosobnionem, natomiast zimne okłady nie były ostatnie w życiu, co się zresztą słusznie memu nieuctwu należało.

Wielkie premjum dla abonentów „Wiadomości"

Zwrot 40% wpłaconej prenumeraty w postaci książek

Pragnąc uprzystępnić swoim czytelnikom szereg wybitnych książek doby ostatniej z różnych dziedzin literatury i nauki, redakcja „Wiadomości Literackich" każdemu abonentowi, który w ciągu stycznia b. r. opłaci prenumeratę roczną,

ofiarowuje do wyboru zupełnie bezpłatnie książek za zł. 10.40,

a każdemu prenumeratorowi, który opłaci prenumeratę półroczną —

za zł. 5.20,

podług poniższego spisu, zawierającego ceny katalogowe. Ponieważ roczna prenumerata wynosi zł. 26.—, a półroczna — zł. 13.—, premjum „Wiadomości Literackich" stanowi zwrot 40% prenumeraty. Ewentualną różnicę pomiędzy wartością premjum a wartością żądanych książek należy dołączyć w znaczkach pocztowych. Przesyłka odbywa się na koszt redakcji.

Spis książek:

STANISŁAW BUKOWIECKI. Polityka Polski niepodległej. Zł. 4.50.
JAN DĄBROWSKI. Względy i urzędy. Zł. 1.20.
WŁODZIMIERZ DZWONKOWSKI. Słowiańszczyzna pierwotna. Zł. 3.—.
JULJAN EJSMOND. Miłość wieczna. Zł. 1.20.
ZOFJA DASZYŃSKA-GOLIŃSKA. Praca. Zł. 6.—.
E. T. A. HOFFMANN, przekład **Zofji Modrzewskiej.** Tajemnicze dziecko. Zł. 1.50.
I. K. IŁŁAKOWICZ. Śmierć Feniksa. Zł. 1.—.
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ. Dionizje. Zł. 1.60.
ZYGMUNT KARSKI. Musujący poranek. Zł. 1.—.
JAN LECHOŃ. Karmazynowy poemat. Zł. 1.60.
JAN LECHOŃ. Rzeczpospolita Babińska. Zł. 2.—.
JAN LECHOŃ. Srebrne i czarne. Zł. 4.—.
ERAZM MAJEWSKI. Kapitał. Zł. 2.50.
ERAZM MAJEWSKI. Teorja człowieka i cywilizacji. Zł. 3.20.
FELIKS MŁYNARSKI. Walka o naprawę skarbu. Zł. 3.—.
BRONISŁAWA OSTROWSKA. Gwiazdka polskiego dziecka. Zł. 1.—.
JÓZEF PIŁSUDSKI. O wartości żołnierza legjonów. Zł. 1.50.
JÓZEF PIŁSUDSKI. Rok 1863. Zł. [illegible]
JÓZEF PIŁSUDSKI. Wspomnienia o Gabrjelu Narutowiczu. Zł. 1.50.
JÓZEF PIŁSUDSKI i MILES. Naczelni wodzowie. Zł. 2.50.
JAN ARTUR RIMBAUD, przekład **Jarosława Iwaszkiewicza i Juljana Tuwima.** Poezje. Zł. 2.—.
G. B. SHAW, przekład **Bronisławy Neufeldówny.** Cezar i Kleopatra. Zł. 2.—.
ANTONI SŁONIMSKI. Droga na Wschód. Zł. 1.—.
JERZY SOSNKOWSKI. Dom filozofów. Zł. 4.—.
WŁADYSŁAW STUDNICKI. Zarys państw bałtyckich. Zł. 8.—.
KAZIMIERZ TYMIENIECKI. Procesy twórcze formowania się społeczeństwa polskiego. Zł. 4.—.
JÓZEF WASOWSKI. Ludzie nikczemni. Zł. 1.—.
MAKSYMILJAN WERONICZ. Polityka zagraniczna Sowietów. Zł. 1.—.
WALT WHITMAN, przekład **Stanisława Vincenza.** Trzy poematy. Zł. 1.40.
KAZIMIERZ WIERZYŃSKI. Pamiętnik miłości. Zł. 6.—.
KAZIMIERZ WIERZYŃSKI. Wielka Niedźwiedzica. Zł. 2.60.
OSKAR WILDE, przekład **Wacława Rogowicza.** Tragedja florencka. Zł. 2.—.

NOWOŚĆ!
FERDYNAND GOETEL
PRZEZ PŁONĄCY WSCHÓD
Wrażenia z podróży, z 80 ilustr.
WYD. 2
CENA ZŁ. 10.—
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

NOWOŚĆ!
ANNA SŁOŃCZYŃSKA
MUZYKA SŁOŃCA
BOŻE GNIAZDO
2 tomy poezyj
zł. 6.—
Nakład
Ludwika Chomińskiego w Wilnie

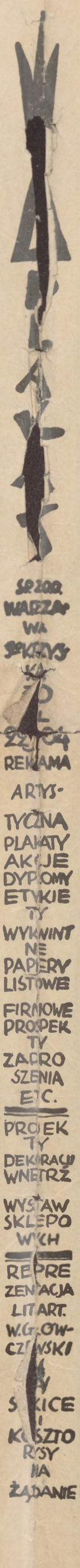

Wojna, pokój i dusza poety

Józef Wittlin. Wojna, pokój i dusza poety. Szkice literackie i przemówienia. Zamość, Zygmunt Pomarański i Spółka, 1925; str. 133 i 3nl.

Kiedy niedawno Józef Wittlin wygłaszał słowo wstępne na wieczorze recytacyjnym Moissiego i w przemówieniu swem, prosząc o życzliwość dla cudzoziemskiego artysty, wspomniał o wiecznych każdego kraju cudzoziemcach-poetach, pomyślałem, że i jego ostatnia książka, „Wojna, pokój i dusza poety", nie znajdzie powszechnego zrozumienia, ponieważ napisana jest w prawie zawsze obcym języku poezji. Ten język jest i dla mnie niekiedy niezrozumiały, — być może, iż odrębnych dialektów poetyckich jest tyle, ilu poetów, wierzę jednakże w istnienie jakiegoś uniwersalnego klucza, pozwalającego odczytywać wszystkie tajemne szyfry, podobnie jak, zdaniem Wittlina, „musi gdzieś istnieć zaognione centrum, zdolne do zarażenia głów i serc pokolenia... żarliwością pracy".

W książce swej, nie zniżając ani na chwilę poetyckiej dostojności słowa, wychodzi Wittlin na poszukiwanie żywej idei, której siłą i natężeniem mógłby mierzyć wartość każdego ruchu umysłowego i artystycznego. W szeregu pięknych szkiców i przemówień — o wojnie i pokoju, o barbarzyństwie, o bohaterstwie na scenie i innych — stara się, podkreślając względność wielu prawd z zakresu życia umysłowego, odnaleźć istotne, na dnie serc leżące, pobudki postępowania. W tym uczuciowym pryzmacie spojrzenia na świat dostrzega Wittlin tragiczne załamania, polegające na bezradności uwikłanego w społecznych antynomjach serca. Będę się starał dowieść, iż tragizm ten jest tylko pozorny, jako tkwiący wyłącznie w dziedzinie kontemplacji, i będę się starał oddzielić to, co w tej książce jest poetycko żywe i bezpośrednie (a więc prawdziwe), od, nieuniknionej częstokroć teatralności myślowego gestu.

W tytułowym szkicu tego zbioru jest wiele myśli, mogących wstrząsnąć szablonami etycznemi przeciętnego, lojalnego Europejczyka. Przypominamy sobie wraz z Wittlinem — (wszak przypominanie jest tak ważnem zadaniem poety!) brzmiące jeszcze niedawno peany nienawiści, ukoronowane słynnym „Hassgesang gegen England" Lissauera, wszystkie ad hoc tworzone hasła, frazesy o geniuszu rasy, o zachodniej cywilizacji, fabrykowane dla celów walki o handlową supremację Anglji nad Niemcami, przypominamy jadowitą usłużność panujących w granicach jednego państwa religij i systemów etycznych. Tej wszechwładnej atmosferze obłudy przeciwstawili się jedynie nieliczni poeci, i nimi [illegible], a właściwie „alembikiem, przez który przepuszczali swoje sumienia", zajmuje się Wittlin. Nie sądzi on, aby poeci mogli wyrażać idee już potencjalnie zawarte w życiu zbiorowem. Poeta jest zawsze samotnikiem, i do niego należy prawda tłumu. „Polityka, jako sfera rozumu, jest światem naogół obcym irracjonalnej duszy jego, i przeto trudno mu z tego obcego stanowiska sądzić prawdę wojny".

Wątpię, czy ten punkt widzenia zgadzałby się z opinjami poetów, na których się Wittlin powołuje. Nie wiem, co to jest ów „mistyczny rozum" Maeterlincka, i nie sądzę, żeby był on nieodzowny dla wypowiedzenia masowej krzywdy. Całkowicie inne podłoże ideologiczne można odnaleźć choćby w „Le feu" Barbusse'a. Pamiętam z tej książki obraz, malujący żołnierza francuskiego, bezsilnie pełzającego po krwawem błocie pobojowiska. Żołnierz ten w obliczu śmierci ciska jeszcze, może ostatnie, gniewne słowa o konieczności ostatniej „wojny przeciw wojnie". Zresztą, słowa te znałem jeszcze przed lekturą „Le feu". Są one głęboko obce psychice Wittlina, ponieważ wyrażają gwałt, potępiany przez niego, bez względu na to, w imię czego jest zadawany. Tu chrześcijanizm (czy tołstoizm?...) Wittlina staje się niedostępną wieżą „splendid isolation", z której z dyskretną ironją wyraża się o „zastarzałej manji poetów poprawiania świata".

„Rewolucją istotną i jedyną jest wynalazek" powtarza za Żeromskim Wittlin. „Kto wie, może wielkiemu genjuszowi Emila Fischera, który już odnalazł sztuczną syntezę cukru, uda się jeszcze odnaleźć białko (nad czem już pracuje), a wówczas nastanie dla ludzkości nowa epoka. Sprawa pożywienia przestanie wówczas być kamieniem obrazy. Stu Fischerów, tysiąc Fischerów uprości nam życie i wypędzi z nas najświętszym egzorcyzmem ducha szatana zemsty, który nas opętał. Ustanie wtedy wszelka krzywda, nie będzie głodnych, i nareszcie po wiekach niewoli duch zatriumfuje nad materją!"

Jest w tem ukryty pewnego rodzaju fatalizm ewolucyjny. Społeczeństwo pozostaje na łasce genjalnej jednostki i owej niewynalezionej syntezy białka. Innemi słowy, należy z założonemi rękami czekać, jak Żydzi, przyjścia jakiegoś Mesjasza-Fischera, który wszystkich uszczęśliwi...

fot. Kępińska
JÓZEF WITTLIN

Ten idealistyczny oportunizm nie godzi się jakoś ze słowami, pomieszczonemi w innem miejscu tej książki: „Mało mam sympatji dla świetnych poezyj R. Tagorego. U nas, w Europie, kultura jest jeszcze na warsztacie, jeszcze nasze tygle gorące są od wrzątku duszy i krwi. Żyjemy nadzieją ustawicznych zmian. Pochwalam barbarzyństwo Europy za jej ruch, za męczeństwo jej wszystkich krwawych porodów". Wyrażone w przytoczonym ustępie sympatje są zapewne bardzo... platoniczne i dlatego nie obowiązują do niczego. Niemniej, wszystkie te, nastawione na wzniosły diapazon idealizmu, rozważania zawierają w sobie, wbrew intencjom ich autora, tyle fałszu, ile go otrzymujemy z dobrodziejstwem „inwentarza kultury narodowej". W swym tradycjonalizmie kulturalnym posuwa się Wittlin tak daleko, że nawet dla rewolucji pragnie znaleźć uzasadnienie w tradycji. Na terenie kultury polskiej takiego uzasadnienia nie znajduje, i stąd (czy tylko stąd?) pochodzi jego negatywny stosunek do rewolucji. Zdaniem jego, zagadnienie rewolucji, naogół obce duchowi kultury polskiej, we współczesnem życiu umysłowem polskiem pojawiło się dlatego, że „umysły wygodniejsze a żądne mocnych, prawdziwych wzruszeń, po zlikwidowaniu starego kramiku estetycznego, poszły do sąsiadów i wypożyczyły sobie parę efektownych sensacyj dla swojej twórczości". Znów, za Żeromskim, podnosi znane ze „Snobizmu i postępu" zarzuty nowinkarstwa i snobizmu. I to jest zrozumiałe: dla idealisty Wittlina rewolucja jest tylko zmianą sposobów rządzenia, pozostającą bez wpływu na sposoby myślenia. „Dopóki nie mamy nowych Modrzewskich, Orzechowskich, Konarskich, Staszicow, Szczepanowskich i Brzozowskich, dopóty nie mamy kulturalnych podstaw współczesnej rewolucji. Gdyby nas dzisiaj zaskoczyła rewolucja klasowa, zastałaby naszą kulturę zupełnie nieprzygotowaną i musiałaby bez wątpienia sięgnąć do inwentarza rosyjskiego. Umysłowość polska tak bardzo jednak różni się od rosyjskiej, że powstałby w niej nieopisany zamęt".

Niepodobna dyskusji z Wittlinem przerzucić na inny, mniej grząski grunt, — konieczności historycznych, praw, rządzących pozornym chaosem. Mówmy więc dalej tym pięknym, lecz jakże nieścisłym językiem poety.

Podobnie jak wyżej przytoczony ustęp, większość myśli, zawartych w książce Wittlina, nosi charakter negatywny — łącznie i z tem smutnem wyznaniem: „W samej rzeczy, nie dorobiliśmy się jeszcze, nie zdobyliśmy w krwawych zapasach nowej myśli przewodniej, nowej postawy twórczej wobec ogromu zjawisk nowego, powojennego świata".

Jakie więc drogi mogą zaprowadzić do tej „nowej myśli przewodniej", jeśli, jak chce Wittlin, wyleczymy się z „manji poprawiania świata"? Budowanie, rozmnażanie nowego dobra, stwarzanie nowych wartości... Dobrze, wszyscy już znają te słowa i wszyscy wiedzą, że — nieskonkretyzowane — są tylko frazesami. Wittlin przytacza tu następujący przykład: „Religję człowieka głosili uporczywie Francuzi w czasopismach takich, jak: „Vivre", „Les Humbles", „La Sève" (i t. d.). Gerard de Lacaze-Duthiers w czasopiśmie „Soi - Même" poczyna drukować regularnie od r. 1917 swój „Petit dictionnaire idéaliste", w którym to słowniku wykłada nowe znaczenie poszczególnych słów i komunałów, będących w obiegu. Odmładza słowa i rewoltuje ich znaczenie. Za pomocą nowego słownika głosi braterstwo ludów".

Książka Wittlina jest również, w pewnej mierze, takim idealistycznym słownikiem. Niestety, brak w tym słowniku wytłumaczenia dla słów najpotrzebniejszych nowej. przez wolę kierowanej kulturze. „Nie wiemy, — pisze Wittlin, — czy to będzie kultura proletarjacka, międzynarodowa, czy inna. Wiemy tylko, że będzie oparta na wielkiej miłości człowieka do człowieka".

Tu wypada się zastanowić nad wartością słów. Wiele z pośród nich młyn miljarda języków zmełł na lotny proszek, tak że niepodobna już odgadnąć ich właściwego kształtu i barwy. W dużej mierze jest to winą poetów, naginających systematycznie wielkość słów do swego poziomu. Reszty dokonała jakaś zasadnicza zmiana w zbiorowej psychice, sprowadzająca dawne kategorje myślowe do poziomu szablonów. Do licha! może więc nic już nie znaczą słowa, których nie można skonfrontować z konkretnemi rzeczami i ludźmi? Co oznacza słowo „miłość" w idealistycznym słowniku Wittlina? Dlaczego odmawia się prawa posługiwania się tem słowem — „męczeństwu krwawych porodów" Europy?...

Nie wiem, jakie na to wszystko odpowiedzi i definicje chowa Wittlin w zanadrzu. Może te odpowiedzi są przeznaczone wyłącznie dla kapłanów jakiegoś „mistycznego rozumu", może nie znoszą one dziennego światła analizy i nieodpartej logiki życia? Może kryje się w nich tylko niemoc, podobnie jak i w tych, udrapowanych patosem i wionących chłodem, słowach: „Skoro oficjalni kapłani milczą, zabierają głos poeci i powtarzają ostatnie słowa Mszy świętej: „Agnus Dei, qui tollis peccata mundi: dona nobis pacem"!

Ach, ileż przez wieki nagromadzonej obłudy kryje się w tej wytartej jak stary szeląg łacinie! Ile konkretnego zła, bólu, fałszu darowuje poeta światu w imię jakiegoś ponadludzkiego, pozażyciowego ideału. Czyż naprawdę dusza poety jest tylko amatorską kolekcją idej, miejscem nieustającej adoracji słów?...

Od poezji do frazeologji — niewielki krok. O tym dystansie na zawsze nie zapominają szczerzy poeci, do jakich zalicza się autor krwią serdeczną pisanego „Hymnu o łyżce zupy". I dlatego, wbrew temu wszystkiemu, co tu zarzucam Wittlinowi, cenię jego ostatnią książkę, jako rzecz nieskłamaną, pisaną sercem i zmuszającą do twórczego myślenia.

Jeśli z goryczą lub gniewem coś tu napisałem, trzeba to złożyć na karb tego, że nie baranka bożego, ale wściekłego psa pragnąłbym odnaleźć w żywem sercu współczesnego poety polskiego.

Władysław Broniewski.

Przegląd prasy

Przyczyny upadku kultury w Polsce — Zanik krytyki — Przewaga teatru, lekceważenie książki i systematyczna deprawacja publiczności — Światła zgaszone — Literatura na odczepne — Jak czytano Żeromskiego — O istotę poezji — Polskość Conrada — Nowinki futurystyczne w „Kurjerze Poznańskim" — Nowy dramat Claudela — Wywiad z Papinim — Międzynarodówka teatralna — „Myśl Narodowa" Kasprowiczowi — Artykuły o Żeromskim i Reymoncie — Beletrystyka — Architektura polska na wystawie paryskiej — Mieczysław Treter o inscenizacji „Achilleis" — Na marginesie zjazdu historyków — Spór o Kościuszkę — Próba rehabilitacji Janusza Radziwiłła — Nowy numer „Nowin Naukowych".

Pani Irena Pannenkowa („Upadek krytyki w Polsce", „Warszawianka", nr. 353) twierdzi, że „jedną z głównych przyczyn obniżenia się czytelnictwa i roli książki i w związku z tem kultury w naszem życiu dzisiejszem jest upadek krytyki publicystycznej, literackiej, naukowej". „Recenzja literacka stała się artykułem niejako nadobowiązkowym..." „Książka przestała być w Polsce rzeczą aktualną". „Minęły czasy wielkich przedwojennych polemik literacko- lub naukowo-krytycznych..." Obok tego p. Pannenkowa konstatuje inny objaw: najświetniejsze pióra oddają się na usługi teatru, i stąd także płynie naruszenie równowagi. Pani Pannenkowa dość jasno zaobserwowała symptomy choroby, nie zdobyła się jednak na wyprowadzenie ze swej diagnozy dalszych wniosków. Przerzucenie się najtęższych literatów w dziedzinę krytyki teatralnej jest niezdrowe nie tylko dlatego, że w ten sposób zostaje poszkodowana książka, o której nie ma kto pisać, nie tylko dlatego, że teatr dzisiejszy przeważnie nosi charakter rozrywkowy i nic ze sztuką nie posiada wspólnego, ale i dlatego także, że ci krytycy teatralni odgrywają na swoich posterunkach przeważnie rolę szkodliwą. Ponieważ wytworzyło się u nas fałszywe z gruntu przekonanie, że należy ochraniać młode talenty tak jak ochrania się początkujące gałęzie przemysłu, że nie należy zniechęcać zbyt surową krytyką i t. d., przeto popiera się najgorszą tandetę, toleruje miernotę, kryterja artystyczne z całym cynizmem zastępuje się kryterjami „obywatelskiemi" i użyteczności publicznej, jak gdyby teatr był szkołą ludową czy trybuną wiecową. A rezultat? Rezultat jest taki, że Teatr Narodowy spokojnie odrzuca sztukę Stanisława Przybyszewskiego (tak!), umacniając zato swój repertuar produktami pp. Rączkowskich... Krytyka powinna wychowywać publiczność — nasza krytyka publiczność tę, przez pobłażanie nędznej grafomanji deprawuje i spycha na coraz podlejszy poziom, zaszczepia coraz niższe upodobania i aspiracje. Do czego to prowadzi — ujawnia się z dnia na dzień widoczniej. I czy publiczność, której każe się poważnie traktować pp. Rączkowskich, będzie chciała potem czytać dzieła o współczesnej poezji, kupować monografje o wyspiańskim, śmiać się z naprawdę dowcipnych i subtelnych humoresek, słuchać dramatów o Jarosławie Dąbrowskim, zachwycać się przekładami z Balzaka, — bardzo wątpimy.

Przed napływającą falą barbarzyństwa i ciemnoty, niosącą zagładę polskiemu światu duchowemu, ostrzega Ernest Łuniński („Światła zgaszone", „Kurjer Warszawski", nr. 340). — Problemat głodu książki porusza Wiesław Wohnout („Rozmowa z książką", „Naprzód", nr. 283). — Jan Bronisław Richter („Drożyzna książki a kultura", „Słowo Polskie", nr. 320—321) uważa, że cena książki polskiej została wyśrubowana do niczem nieuzasadnionej wysokości. — Józef Jankowski („Kilka refleksyj pogrzebowych", „Dzień Polski", nr. 297) wskazuje na ciężki los pisarzy i artystów w Polsce, pozbawionych opieki zarówno ze strony społeczeństwa jak i rządu. — „Express Poranny" (nr. 338, „Miasto ojczymem literatów") piętnuje bezczelność władz miejskich, które wyasygnowały związkowi literatów zaledwie pięć tysięcy złotych na doraźną pomoc dla wdów i sierot po literatach — w tym samym czasie, dodajmy, kiedy topi się dosłownie miljony w bajorze teatralnem. — „Głos Polski" (nr. 334, „Pustynia kulturalna w Polsce") drukuje ciekawy wywiad z p. Jakóbem Mortkowiczem, z którego dowiadujemy się, że Polska wchłonęła od chwili uzyskania niepodległości zaledwie około 200.000 egzemplarzy wszystkich dzieł Żeromskiego. Warto dla porównania zaznaczyć, że jeden tomik poezyj trzeciorzędnego pisarza francuskiego, Geraldy'ego, „Toi et moi" osiągnął nakład 240.000 egzemplarzy!

Michał Sobeski ogłasza w nr. 359 „Kurjera Poznańskiego" zajmujący artykuł „Poezja czysta" o sporze, jaki toczy się ostatnio we Francji pomiędzy ks. Henrykiem Brémondem a Pawłem Valéry o istotę poezji, w którym to sporze pierwszy jest zwolennikiem poezji — rozumu, drugi poezji — modlitwy. Sobeski staje po stronie Valéry'ego, twierdząc, że „nie fakt doznawania uczuć modlitewnych decyduje o poecie — boć takim faktem może poszczycić się przecież każdy — lecz umiejętność nadawania tym uczuciom zmysłowym form słownych". — W. („O polskość Conrada", „Gazeta Poranna Warszawska", nr. 318) występuje przeciw procesowi rewindykacji Conrada na rzecz Polski i wykazuje obcość jego dzieła psychice i sztuce polskiej. — I. Grz. daje w nr. 289 „Nowej Reformy" wizerunek Henryka Bukowskiego, niestrudzonego działacza polskiego na terenie szwedzkim („Kustosz polskiej kultury i godności narodowej"). — Sensacyjny poniekąd charakter nosi artykulik Wandy Melcer-Rutkowskiej w nr. 361 „Kurjera Poznańskiego" („Nowinki literackie"), gdzie autorka pisze o eksperymentach w dziedzinie wierszowania i grafiki w następujący sposób: „...publiczność... która przywykła niemyśleć samodzielnie, lecz tylko patrzeć oczami swoich wybranych, a wątpliwej często wartości nauczycieli — dojrzy w tych pismach tylko ekscentryczność tam, gdzie publiczność wykształcona i kulturalna dojrzy może próby, ale próby, z których coś nowego się rodzi". I uświadomić sobie tylko, że doczekaliśmy chwili, kiedy „Kurjer Poznański" występuje w obronie „futuryzmu" i wyśmiewa się z jego przeciwników! — Z „Rozmowy z Pawłem Claudelem" E. Woronieckiego („Ilustrowany Kurjer Codzienny", nr. 354) dowiadujemy się szczegółów o nowym dramacie Claudela p. t. „Trzewiczek satynowy". — E. Kleinlerer drukuje w nr. 274 „Nowego Dziennika" „Rozmowę z Janem Papinim". Papini podkreśla tu bliskość Żydów i chrześcijan jako przynależnych do jednego kościoła mesjanicznego. — Nr. 355 „Ilustrowanego Kurjera Codziennego" przynosi wywiad E. Woronieckiego z F. Gémier („Międzynarodówka teatru"). Instytucja, którą pragnie stworzyć wielki aktor francuski, ma za zadanie „przyczynić się do rozwoju i wzbogacenia poszczególnych teatrów narodowych przez pomoc wzajemną i wymianę swych wartości odrębnych".

Piękny numer poświęciła „Myśl Narodowa" (nr. 13) Janowi Kasprowiczowi. Na jego treść składają się: „Kasprowicz a Polska przyszłości" Władysława Kozickiego, „Kasprowicz i najmłodsi" Stefana Kołaczkowskiego, „Kasprowicz jako tłumacz tragików greckich" Józefa Birkenmajera, „O portretowaniu Kasprowicza" Zygmunta Wasilewskiego.

Dla uzupełnienia naszej bibljografji ważniejszych głosów i wspomnień pośmiertnych o Żeromskim i Reymoncie, umieszczanej w nr.nr. 100—102 „Wiadomości", odnotowujemy jeszcze następujące pozycje. Przedewszystkiem wymienić należy nr. 49 „Tygodnika Ilustrowanego", z artykułami Wacława Berenta, Juljusza Kaden-Bandrowskiego („Jakże to my, współcześni..."), Piotra Choynowskiego („Żeromski a mowa polska"), Wacława Sieroszewskiego („Przy warsztacie"), Wacława Grubińskiego („Element Żeromskiego"), Ferdynanda Goetla („Syzyfowe prace"), Władysława Kryszewskiego („Stefan Żeromski w Rapperswilu"), W. Horzycy („Konrad ziemi"), W. Zawistowskiego („Stefan Żeromski i teatr"). — Pamięci żeromskiego poświęcony jest również nr. 17—18 dwutygodnika dla dzieci „W Słońcu". — Pozatem znajdujemy: „Żeromski i cenzor austrjacki, Krechowiecki" T. Kaszyńskiego („Ziemia Lubelska", nr. 284), „Cor cordium" Władysława Kozickiego („Słowo Polskie", nr. nr. 330—332), „Stefan Żeromski w Lubelskiem" Stanisława Ptaszyckiego („Ziemia Lubelska", nr. 287), „Świat pracy" Stycz („Echo Warszawskie", nr. nr. 325—328, 330), „Stefan Żeromski w pracowni uniwers. prof. Machała" Marjana Szyjkowskiego („Kurjer Poznański", nr. 357), „Credo społeczne Stefana Żeromskiego" Widza („Kurjer Polski", nr. nr. 323—325), „Żeromski" M. Zdziechowskiego („Słowo", nr. 275), „Żeromski — wielbiciel książki" K. Zieleniewskiego („Przegląd Bibljograficzny", nr. 23).

O Reymoncie piszą: Józef Birkenmajer („Pęknięty dzwon..."), „Kurjer Poznański", nr. 347), C-ski („Gdzie stała kolebka Wł. St. Reymonta", „Kurjer Warszawski", nr. nr. 358—361), Ż. Dębicki („Pożegnanie", tamże, nr. 343). Tadeusz Grabowski („S. p. Władysław Reymont", „Kurjer Poznański", nr. 343), Włodzimierz Jampolski („Po zgonie Władysława Reymonta", „Głos Prawdy", nr. 118), M. Kanfer („Reymont i Hamsun", „Nowy Dziennik", nr. 279), Władysław Kozicki („Władysław Reymont", „Słowo Polskie", nr. 335), Adolf Nowaczyński („Ostatni laureat Nobla", „Kurjer Poznański", nr. 351), Bol. P. („Władysławowi Reymontowi — podzwonne", „Nowa Reforma", nr. 284), Irena Pannenkowa („Wieszcz żywiołu", „Warszawianka", nr. 338), K. H. Rostworowski („Władysław St. Reymont", „Głos Narodu", nr. 285), Adam Grzymała-Siedlecki („S. p. Władysław St. Reymont", „Tygodnik Illustrowany", nr. 50 — i „Ze wspomnień o Reymoncie", „Kurjer Poznański", nr. 371), Franciszek Siedlecki („Władysław Reymont", „Gazeta Administracji i Policji Państwowej", nr. 51), T. Sinko („Poeta krzyża i lemiesza", „Ilustrowany Kurjer Codzienny", nr. 350), Bolesław Szczepkowski („O Reymoncie jako zwiastunie nowej Polski", „Kurjer Poznański", nr. 355), W. Zawistowski („Władysław St. Reymont — pisarz i człowiek", „Tygodnik Illustrowany", nr. 50).

Charakterystyki porównawcze obu wielkich pisarzy dają: Henryk Hescheles w nr. 2415 „Chwili" („U wielkich trumien"), Ludwik Hieronim Morstin w nr. 298 „Czasu" („Reymont i Żeromski"), Jan Zahradnik w nr. 352 „Słowa Polskiego" („Żeromski i Reymont wobec współczesności").

W dziedzinie beletrystyki zanotować wypada: „Kurjer Polski" rozpoczął w nr. 354 druk opowiadania Juljusza Kaden-Bandrowskiego „Gucio", „Światowid"—w nr. 52 osnutej na Mayne-Reidzie opowieści romantycznej Jarosława Iwaszkiewicza „Jeździec bez głowy", „Warszawianka" w nr. 338 nowej powieści Włodzimierza Perzyńskiego „Nie było nas, był las"; wybitny talent zapowiada „Rapsod wigilijny" Stanisława Marji Salińskiego (tamże, nr. 354). W nr. 50 „Świata" zachwycające „Poezje" Marji Pawlikowskiej. — Z rzeczy złych i głupich najgorsza i najgłupsza była nowela Wojciecha Baranowskiego „Pasjans" w nr. 354 „Kurjera Warszawskiego".

„Myśl Niepodległa" (nr. 791) z okazji przyznania nagród na paryskiej wystawie sztuki dekoracyjnej, komentując dość dziwne, istotnie, zjawisko, że Stanisław Noakowski otrzymał medal bronzowy za... zabawkarstwo, pisze: „...nie jesteśmy w stanie zrozumieć, dlaczego na wystawie paryskiej reprezentowali architekturę polską artyści malarze, gdy tymczasem ludzie, stojący u szczytu myśli architektonicznej, — koniki i wózki dziecięce". Sprawę tę poruszy w jednym z najbliższych numerów „Wiadomości" Wacław Husarski w omówieniu bilansu działu polskiego na wystawie paryskiej.— „Rzeczypospolitej" nie spodobał się plakat „Tygodnia Akademika", gdyż dostrzegła w nim „styl bolszewicki". Za pokrzywdzonymi ujmuje się „Myśl Narodowa" (nr. 11, „Uwagi na marginesie"), słusznie wykpiwając poglądy estetyczne organu p. Korfantego. Jest to jednak stanowisko mocno obłudne, bo epitet „bolszewicki" w stosunku do objawów, których się nie rozumie lub które się nie podobają, jest specjalnie kultywowany przez publicystów właśnie z obozu „Myśli Narodowej". Ale jak przypadkowo epitet taki trafi w „swojego" — robi się zaraz wielki gwałt. — Z artykułów z dziedziny plastyki, jakie ukazały się ostatnio na łamach pism polskich, na specjalne wyróżnienie zasługuje doskonały szkic Mieczysława Tretera „Achilleis" w oprawie scenicznej Andrzeja i Zbigniewa Pronaszków („Warszawianka", nr. 315), gdzie autor z głębokiem zrozumieniem utworu Wyspiańskiego i z całym zasobem fachowej wiedzy malarskiej wykazuje, na czem polegał sens inscenizacji Teatru im. Bogusławskiego, którą z takiem przerażeniem przywitały rozmaite recenzenckie ignoranty warszawskie. Treter pisze: „Zupełny brak plastycznego a zwłaszcza malarskiego gaudiusza, gardzenie wszelkiemi nieistotnemi szczegółami, dwie cechy charakterystyczne zarazem dla całej współczesnej plastyki europejskiej, nie spotyka się u nas jeszcze, znaniem mojem, z należytą oceną i wnikliwem zrozumieniem..." I dalej: „...niesłusznie scenę Teatru im. Bogusławskiego uważa się za laboratorjum eksperymentalne... W teatrze tym stosują tylko do różnych utworów polskich zasady, wypróbowane już dobrze gdzieindziej".

„Kurjer Poznański" (nr. 341) uświęcił poznański zjazd historyków szeregiem artykułów specjalnych. Znajdujemy tu prace następujące: „Nauce polskiej w hołdzie" Tadeusza Grabowskiego, „Dwadzieścia pięć lat polskiego średniowiecza" Kazimierza Tymienieckiego, „Polska ideologja historyczna" Bronisława Dembińskiego, „Ćwierć wieku badań nad gospodarczemi dziejami Polski" Jana Rutkowskiego, „Dwadzieścia pięć lat historjografji polskiej" Leona Białkowskiego, „Ćwierć wieku naszego archiwizmu" Kazimierza Kaczmarczyka, „Jak badano dzieje Wielkopolski" Andrzeja Wojtkowskiego, „Historja ustroju Polski od 1901—1925" Zygmunta Wojciechowskiego, „Ćwierć wieku badań prehistorycznych w Polsce" J. Kostrzewskiego, „Polska historja muzyki i muzykologja" Lucjana Kamieńskiego, „Ćwierć wieku historji sztuki w Polsce" Dettloffa. — Na tle zjazdu bardzo słuszne uwagi na temat „pisania historji" zamieszcza Stanisław Wasylewski w nr. 335 „Słowa Polskiego" („O pisaniu historji"). Wasylewski, zwracając uwagę na to, że historja jest „nauką żywą, która z narodu wyrasta, której naród łaknie i którą naród żyje", że powinna utrzymywać ścisły kontakt ze społeczeństwem, że nie może mieć charakteru „wiedzy tajemnej", — domaga się szybszego przejścia od prac przygotowawczych, analitycznych, niedostępnych dla ogółu, do prac syntetycznych, posiadających sens nie tylko dla ściślej grupy fachowców, ale i dla szerszych mas czytelniczych. Tu Wasylewski kładzie nacisk na zagadnienie jasnej i pięknej formy, bojkotowanej i zaniedbywanej przez współczesne pokolenie polskich historyków. — Echem jednego z żywszych momentów zjazdu, mianowicie polemiki o legendę kościuszkowską, jest artykuł W. B. „Dwóch Kościuszków" w nr. 343 „Ilustrowanego Kurjera Codziennego", biorąc wielkiego patrjotę w obronę przed atakami prof. Skałkowskiego. — Ciekawą próbę rehabilitacji Janusza Radziwiłła podejmuje Karol Waga w nr. 21 „Przeglądu Wileńskiego" („Janusz Radziwiłł"). Autor udowadnia, że słynny pakt kiejdański ze Szwedami z r. 1655 leżał w interesie Wielkiego Księstwa Litewskiego, że nie można tu mówić o zdradzie, że stanowisko ks. Janusza „odpowiadało naturalnym tendencjom rozwojowym kraju". — Interesująco napisany jest artykuł Cat. p. t. „W prześwietlonym domu" („Słowo", nr. 287) — o Mikołaju II. Publicysta wileński przychodzi do przekonania, że „jego życie po abdykacji stało się odkupicielstwem rosyjskiej idei monarchicznej".

Nr. 5 zasługujących na najgorętsze poparcie „Nowin Naukowych" zawiera m. in. O. Haleckiego „Międzynarodowy Instytut Współpracy Umysłowej", Z. Mocarskiego „Jubileusz Towarzystwa Naukowego w Toruniu" oraz K. Czałczyńskiego rzut oka na działalność niektórych seminarjów uniwersyteckich p. t. „Praca naukowa na seminarjach".

jam.

W pustyniach Raskemu i Tybetu

Gen. **Bronisław Grąbczewski.** W pustyniach Raskemu i Tybetu. Z portretem autora, 74 ilustracjami i mapą. Podróże gen. **Br. Grąbczewskiego.** Tom trzeci. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1925; str. 240 i tabl. 1.

Treścią trzeciego tomu podróży gen. Grąbczewskiego jest opis wyprawy, której początkowym celem był legendarny Kafirystan. O kraju tym w końcu XIX w. tylko luźne krążyły wieści. Żaden Europejczyk nie przestąpił jeszcze wtedy granic tego górskiego państewka, leżącego za mitycznym, olbrzymim łańcuchem Hindu-Kuszu.

Trzecią wyprawę udało się gen. Grąbczewskiemu zorganizować daleko łatwiej, niż dwie poprzednie. Rezultaty naukowe poprzednich wypraw były tak doniosłe, że nawet ospałe i bezmyślne ówczesne rosyjskie sfery rządowe zrozumiały ich znaczenie i nie stawiały już trudności śmiałemu podróżnikowi. Przyczyniło się do tego głównie finansowe poparcie następcy tronu (późniejszego Mikołaja II).

Niestety, wojna między plemionami pamirskiemi uniemożliwiła dotarcie do tajemniczego kraju chrześcijańskich Siachpunów, broniących zaciekle dostępu do swego Kafirystanu absolutnie wszystkim, nawet najbliższym sąsiedzkim spokrewnionym ludom. Po kilku nieudałych próbach, udaremnionych przez wrogi stosunek władz w Indjach do nieangielskich wypraw naukowych na te tereny, ekspedycja zbadała pustynie Raskemu i Małego Tybetu.

Wskutek nieudzielenia pozwolenia na przezimowanie w Ladaku przez angielskiego rezydenta w Kaszmirze, pułkownika Nisbeta, wyprawa znalazła się w krytycznem położeniu. Rezultat był taki, że gen. Grąbczewski o mało nie zginął wraz z swoimi ludźmi w nieprawdopodobnie ciężkich warunkach straszliwej zimy na najwyższych płaskowzgórzach świata. Opisy tych wspaniałych wysiłków są bodaj najciekawszemi ustępami książki. Właściwej wagi nabierają one dzisiaj, gdy z opisów angielskich wypraw na Everest poznajemy trudności, z jakiemi walczyć trzeba na wyniosłościach olbrzymiego Tybetu. A gen. Grąbczewski znalazł się tam w zimie, o której potworności nie mamy słabego pojęcia. I tylko dzięki wielkiej wytrwałości uczestników, woli i intuicji podróżniczej kierownika wyprawy uratowano się w tym marszu na wysokości 5.600 metrów nad poziomem morza. Stracono większość koni, dużo bagażu i kolekcyj naukowych.

W spokojnych opisach gen. Grąbczewskiego poznaje się te nieokiełznane siły przyrody, tytaniczne żywioły najdzikszego zakątka świata, wobec których człowiek musi się zdobyć na pełny wysiłek energji, żeby nie zginąć w bezludnych, fascynujących obszarach. Obrazy płaskowzgórzy pamirsko - tybetańskich, ich bezludna dziewiczość i gigantyczne rozmiary są wprost nierealne.

Piękne są ustępy opowiadające o serdecznej przyjaźni i przywiązaniu mieszkańców Jału do Długonogiego Pana, jak nazywano gen. Grąbczewskiego w pustyniach i płaskowzgórzach całej środkowej Azji. Wzruszająca jest gotowość mieszkańców tego miasteczka, którzy z całą ufnością chcieli mu oddać władzę nad sobą, oderwać się od Chin i żyć samodzielnie pod jego rządami. Wszystko to dowodzi, jak taktowne było jego postępowanie z dzikimi góralami tamtejszymi, jak starał się zawsze w atmosferze pokoju prowadzić swoje śmiałe i ryzykowne wyprawy. To też o ekspedycji tej głośno było w całej Rosji naukowej.

Ciekawi jesteśmy następnych tomów wielkiego podróżnika, których treść stanowić mają wspomnienia osobiste. **jmr.**

Ku czci Władysława Reymonta

Przemówienie na akademji żałobnej

Wyszliśmy niewołani, bezimienni, z beztradycyjnych miast z czerwonej cegły.

Nad zdyszanemi piersiami stalowych płuc chwieje się kabłąk wieczystego dymu niby aureola tytanicznego wysiłku nad głową herosa z „Iljady".

Daleko, daleko — w rzewnem wspomnieniu dziecinnej lektury — zostawiliśmy za sobą sen błogi opowieści przy kominku i tkliwy smęt romantycznej refleksji na nagich szczytach osamotnień.

WŁ. ST. REYMONT

fot. Martinie

Wsłuchani w maszynowy oddech klap bezpieczeństwa, świst syren i turkot wozów, ładowanych belami towaru, wpatrzeni w trójkąt spiętrzonych żył na czole towarzysza pracy, wgarnęliśmy w siebie na bezpotomne czasy zaprzysiężony uścisk sprzymierzeńczego ramienia.

Uznaliśmy się za koło huczącej maszyny świata w zazębień zygzaku rządzące i współrządzone.

Uczciliśmy tragiczne piękno, ach — jakże niehistorycznego u nas wyścigu myśli i pośpiechu nóg, uskrzydlonych śmigłem samolotu, — rwącej galopady niedorównanych sił, spojonych mutrą naszej twórczej woli.

Geometryczny kształt ociosanego z przypadkowości indywidualnej życia zdradził nam najśmigliejszą gładziznę swej monumentalnej budowy — w echowem tętnie kroczącej wprzód gromady.

Skute obręczą zbiorowego wysiłku tysiączne ramiona rytmiczny sport gest, żelazny rygor hieratycznego obrzędu pracy.

I tam — pod spękanemi od łoskotu maszyn murami miast o czerwonych dziąstach cegieł — spotkaliśmy Jego, wsłuchanego czujnie w niespokojny oddech metalowych płuc, w zduszony pogłos obezkwieconej ziemi.

Odszedł daleko, by znaleźć się blisko.

Z wsi polskiej, z rodnych pól wyorał tajemnicę tego samego życia, któreśmy znaleźli w spiętrzonym oddechu wielkich miast, w pracy tysięcy wydziedziczonych z Lipiec komorników, na lat dwadzieścia przed nami — On, pierwszy w nowszej poezji polskiej piewca zbiorowości.

To, co go umniejszyło w opinji Młodej Polski, — rygor wprzęgnięcia się w łańcuch transmisyjnego obrotu wokół wspólnej osi, — zdobyło mu w naszych oczach przywilej pierworództwa i samorodności.

W okresie triumfalnych zwycięstw liryki modernistycznej nad niedobitkami pozytywizmu — Reymont był epikiem niepokalanego poczęcia; w czasach apoteozy jednostki i nadczłowieczeństwa, histerycznego sabatu z muzeum dekadenckich osobliwości — Reymont był poetą gromady i typu; w czasach nastrojowego mazgajstwa i rachitycznych wzlotów w dziedzinę złud i majaków, prózniaczego wyławiania impresyj o świecie i o zmierzchu — Reymont był poetą pracy; wbrew kultowi anarchicznej swobody i satanizmu — Reymont jest piewcą prawa bożego na ziemi; w okresie burzy i zamętu — zwiastunem pokoju.

Znaleźliśmy w nim to, czegośmy się dramatycznem napięciem celowo zorganizowanej sił dopracowali w sobie: tradycję najmniejszego wysiłku dla osiągnięcia największych rezultatów, ekonomję ruchów i ekonomję myśli, mechanizację psychiki, uproszczonej do kilku zautomatyzowanych poruszeń narzędzia pracy, moralność kosy czy sierpa, który jest „dobry" wtedy, gdy tnie równo i gładko, „zły" wtedy, gdy strzępi, targa i zacina się jak Antek w swojem bezpomocnem miłowaniu.

I jak ten bohater mięśni i woli, Jagny miłośnik ponocny, gwałciciel i rozkosznik, gnąc się pod zbawczem brzemieniem koordynacji, uwidocznionej w prawie pracy i gromady, musi wobec Jagny — wieczyście krnąbrnej, bezpańskiej, anarchicznej, bezwładnie rodzącej łopian i pokrzywę, szczerkowe zielska, chwasty i kierz płony, — musi ją przeorać ostrzem swego pługa, porozwalać w skiby, musi ją jak Judasz zdradzić pocałunkiem, musi jak Piotr święty wyprzeć się trzykrotnie i wydać na męki, by ocalić nie siebie, lecz boski porządek świata, — tak my, żywe kamienie wstającego życia, gibcy i młodzi, w bezwzględnym i twardym osądzie wydartych strzępów ciała — kształtujemy się na modłę stalowego rygoru celowej konstrukcji.

Ta zdobywcza i męska osnowa epopei czyni z niej dzieło szczególne, epokowe w tym okresie kaprysu i bezwoli, indywidualistycznego rozszczepienia wyłamującego swawolnie jednostkę ze społeczności.

W poddaniu się Antka prawu gromady, w religijnem uświęceniu przezeń rygoru pracy, sprzęgającej go z ziemią i z człowiekiem, święcimy triumf tej samej zasady, której hołduje nowa sztuka.

I dlatego teraz, stając przed zawartemi nad Jego starganą myślą wrotami losu, poczuwamy się do najzaszczytniejszego obowiązku podjęcia pulsującej tętnem Jego najszlachetniejszej krwi idei współtwórczej zbiorowości, która wciągając w swe regulujące tryby robotnika i chłopa, przyoblecze się w nową formę hieratycznego obrzędu, stwarzając monumentalny gmach celowej pracy narodu.

Jan Nepomucen Miller.

Kukły współczesności

Wizyta u Marji Wasiljew

Jeszcze ciągle, pilnie przez mieszczaństwo świata propagowany, pokutuje „romantyczny czar" bohême'y; nic tak nie schlebia bowiem w gruncie rzeczy ludziom „jak się należy", niźli ten anachronizm. Cokolwiek się mówi, w naszej muskularnej epoce dalej włóczą się w najlepsze z poza niedomkniętych drzwi knajp duszne opary i nastrojowe mgły. Istnienie „cyganerji" jest przecież wielkim triumfem burżuazji: że ten, kto wyłamać się ośmielił z pod jej prawodawstwa, kto zaprzedał się jedynej twórczości, zasługującej na to miano, twórczości b e z i n t e r e s o w n e j, — tem samem wyjęty jest z pod prawa, wyświęcony ze społeczeństwa, któremu wolno wyłącznie mierzyć i nagradzać. Nieśmiertelny „mecenas sztuki" nie mógłby obejść się bez tych wykolejeńców, których pro-

teguje; stare Amerykanki jeżdżą autocarami po Montparnassie i przez lorgnon podpatrują zdaleka kawiarnie „artystyczne" oraz ich bywalców, jak wciąż jeszcze nieobłaskawione zwierzęta...

Zapewne, w „Cafe du Dôme" zmieniło się coś - nie - coś od ćwierćwiecza: jedna stylizacja zastąpiła drugą. Zamiast peleryn rozwianych, kapeluszów z czarnem rondem, długich włosów — panoszą się teraz cow - boyskie czerwone chusty, melony na bakier, monokle, brutalny akcent fajek w wygolonych mordach, „sportowy" sznyt. Kokoty przestały być djaboliczne; dawno już nie noszą długich żałobnych rękawiczek. Ścięły włoski; udają niewiniątka i perwersyjne aniołki i niewiele różnią się od chłopców. Pomieszały się narodowości i płci. Czemże inny Rumun jest od Żyda? Węgier od Amerykanina? — Tutaj właśnie, w tym różnojęzycznym gwarze, poznałem skromną i nieznaczną panią — wielką artystkę: Marję Wasiljew.

Tak, obrazy jej, nagie i przejmujące, są ciekawe. Tak, zna wszystkich i znają ją wszyscy, zżyta jest nawskroś z tą międzynarodową gwarą, z tradycją i pianą tego środowiska. Lecz właściwie odkrył ją przecież Poiret, wszechwładny król mody, i na jego to zamówienie tworzy te lalki zdumiewające, które zdobią najwspanialsze magazyny świata, jak dawniej posągi marmurowe pałace, — te koszmarne bożyszcza, służące elegantkom do zabawy, — te kukły uśpione, te upiory, tych ludzi, które nam, żywym, patrzącym w nie jak w lustro, jak w zniekształconą prawdę o nas samych, krew ścinają w żyłach... A przytem jeszcze Wasiljewa, naiwna Słowianka, i niebardzo już młoda, lubi, obwieszona koralami, tańczyć na balach „sztuki" swe dawne, niezapomniane tańce — pod elektrycznem światłem w rosyjskim ludowym kostjumie...

To nie do wiary, lecz ona, rzeźbiąca maski nieludzkie, z tamtych przybyła dalekich stron. Nie można odgadnąć dróg, zawianych dróg, które tę naiwną kobiecinę z kraju szerokiej szczerości i łatwowiernej, stepowej prostoty przywiodły w tę błyszczącą stolicę wyrafinowanego barbarzyństwa, w przecywilizowany Paryż. Skądże, z jakiego to cichego miasteczka o śpiących żaluzjach, o oknach dobrze na zimę watowanych, — gdzie nad blachę dachów wesołe dymki wznoszą się ku blademu melancholijnemu niebu? Domki tam pewnie drewniane, brunatne, spuchnięte od przybudówek... Szynczek na rogu, kumy z białemi pulchnemi rękami, fartuchy z perkalu w niebieskie kwiaty, ganki rozklejone, arpeggia niedzielne na rozklekotanych pianinach, kwiatki za szybą pełną chandry, szumiące samowary, konfitury z malin, rozmowy pryncypjalne wokół przesłodzonej herbaty (która paruje i parzy w ręku), liściki, pensjonarskie miłości... Serdeczna Rosjo romansów!...

A ot, po błyszczącym zadeszczonym bulwarze omnibus o ognistej cyfrze „A-E" wiezie mnie na plac, gdzie moknie kamienny lew belforcki, — i potem skręcam w ubogie na krańcach, ciemne uliczki. Jest ślisko... Idzie się po jakowychś schodkach, w podwórku, na pięterko...

MARJA WASILJEW

A tu zwyczajne sobie atelier... Pośród szmatek, wiórków, drutów, niepojętych resztek siedzi sobie mała kobietka, niezbyt młoda, ale też nie stara, — ze świdrującemi oczkami w dziecinnej twarzyczce, — coś tam pilnie majstruje i ugniata... Ani na chwilę nie przerywa te-

go zajęcia, kiedy oglądam fotografje stworów, przez nią powołanych do życia, — między które często - gęsto zaplątały się zdjęcia rodzinne: gimnaziści w rubachach i szynelach, podmiejskie jakieś dacze. A wokoło, zewsząd, z każdego kąta patrzą ku nam szydercze i nieziemsko zamyślo-

ne twarze, ślepe oczy bożyszcz, groźne i nienawidzące źrenice hieratycznych somnambulików. Jest ich tyle, sami znajomi, codziennie spostrzegani z poza szyb kawiarni, — witamy się z nimi i żegnamy, — ale tu po raz pierwszy ujęci w swej nagiej prawdzie, t a k i m i, j a k i m i s ą

poza przebraniem naszych śmiesznych ubrań, konwencyj i kulturalnych nawarstwień, — odkształceni w maski barbarzyńskie. Mamy tu cały tłum nowoczesnych fetyszów — t y c h p o r t r e t ó w n a s z y c h w s p ó ł c z e s n y c h — : policjant, bankier, panna sklepowa, dama mondaine wykrygowana — typy społeczne groteskowe, doprowadzone do absurdu; a inne znów odpychające i wabiące: dalekie i wyniosłe, straszą nas larwy o oczach niedomkniętych, pełnych dziwnego znaczenia. Jedne są lśniące i tępe ze wzrokiem wbitym w przestrzeń; tych — oczy w słup postawione, wargi wydęte, rozrośnięte uszy; innych — gałki oczu wybałuszone jak u ryby. Wyraz ich zawsze jest jednolity: czy to komizm djaboliczny, groza straszliwie szatańska, raz filuternie śmieszny lub zastraszająco poważny; jakieś twarze wizjonerskie, rażone niepojętem osłupieniem: jakby światłem nadziemskiem przeszyte; tam — ze skóry wytłoczone dziwotwory; tu — potworki jaskrawe farbą napuszczone; gdzieniegdzie lalki uciesne, przyjazne, całkowicie optymistyczne; gdzieindziej pierroty, których tęskniące księżycowe twarze już się przemieniają prawie w pyszczki zwierzęce.

Bałwany te — pokrewne doskonałym w straszliwej urodzie murzyńskim idolom — tają sekret swego powstania, zawodowy sekret autorki, strzeżony zazdrośnie jak formuła tajemniczego rytuału: z niewiadomej powstały substancji. Są mocno zbite, całkowicie materjalne, można dotknąć je i objąć dłonią i namacać, sprawdzić twardość i gładkość, — a przecież nadal pozostaną tem, czem są: cudzoziemcami, stworami z fikcyjnego świata, upiorami pomalowanemi w obcy wzór. I nigdy nie zniknie w nas pierwsze wrażenie przejmującej niespodzianki; tu, gdzie ostatni wyraz cywilizacji powrócił poprzez naiwne wierzenia — jak wierzenia dziecka — w czarny szlam: w pierwotność, — zawsze jednako jesteśmy z a s k o c z e n i. I otóż odzywają się w nas, przebranych ludziach, jakieś senne szepty, przedwieczne ciemne tradycje człowieka, echa, zagubione w mrocznych szumach krwi, — z gnijących moczarów powstają duchy przodków. Wtedy rozbłyskuje przed nami odmienne piękno tego rzemiosła masek i przedmiotów użytku.

Bo przecież jest to wszystko jedna rodzina; zarówno ów poliszynel o rokokowej perwersji, cały złożony z zakrętasów: wymyślnych, nienaturalnych, obojętnych, kuszących, jak i te dziwne meble, meble powykręcane, zdaleka ludziom podobne, lecz jakżeż od nich bardziej u p r o s z c z o n e, — zdziwieni bracia, budzący w nas niepokój sumienia...

W nich wszystkich uderza nas to, co ich łączy: ich n i e z m i e n n o ś ć, to, że są postanowieni raz na zawsze, i nic już im nie może fala życia, — to zastygnięcie, skrzepnięcie, z a m a r c i e w m u m j e, wyłamanie się ponad to, co osobiste, indywidualne, p r z e ł a m a n i e f i z j o g n o m j i, a nawet typu, o d c i e l e ś n i e n i e w s c h e m a t:

utworzenie wreszcie groźnej wyzwalającej abstrakcji. Przez te wszystkie twarze z tamtej strony i przez te przedmioty jakżeż obce przemawia jeden straszliwy instynkt, drapieżny i tajemniczy, na pograniczu małpy, bóstwa i człowieka, jakby w tej drobnej kobiecinie obudziło się jakieś pradawne prawo... Ono to pozwala jej lepić i rzeźać dzieła, tak bezinteresowne, tak absolutne, jak maty wiązane, jak pstre murzyńskie tkaniny. To my tylko nie potrafimy się ocknąć... Lecz czasem słyszymy dysonans rzężącej muzyki, jak jazzu świszczące chrapanie... Niekiedy znów stajemy się ludźmi, dla których przodkami są zwierzęta, skały, drzewa, wody oraz gwiazdy... Wtedy zapytujemy trwożnie, co też stało się z naszemi „podobiznami"? Gdzież jest portret XX w.? W jakim żyjemy epoce?

Spójrzmy na lalki Marji Wasiljew: na smutne zjawy, zdziwione i obojętne.

Stefan Napierski.

„Głowa"

Nowa powieść Henryka Manna

Powieść Henryka Manna „Der Kopf" jest ostatnią z powieści tworzących trylogję „Das Kaiserreich" („Cesarstwo"), z których pierwszą był „Der Untertan, Roman des Bürgertums" (1917), drugą — „Die Armen, Roman des Proletariers" (1918). Mann przedsięwziął zadanie powieściopisarza - publicysty, wnikającego bystro w strukturę społeczną doby, bezpośrednio poprzedzającej wielką wojnę, doby cesarstwa Wilhelma II, aby wykazać zgniliznę i bezplanowość jej dążeń, prowadzących do katastrofy. Powieści Manna charakteryzują społeczeństwo niemieckie, odbijają się w nich jednak charakterystyczne cechy i innych społeczeństw europejskich, — tak dalece, że powieść Manna jest raczej europejska, niżeli niemiecka.

Szereg romansów i miłostek, zajść towarzyskich i skandalików, damy z arystokracji, mieszczanki, aktorki, kokoty, salony polityczne Berlina, buduary upadłych księżnych, sale taneczne donjuaństwa wielkomiejskiego, kancelarje ministerjalne, cercle cesarski, budy cyrkowe, cała masa osób najrozmaitszego pochodzenia, sfer, przekonań, dążeń, splątanych i związanych ze sobą dziwnemi kaprysami losu, — ale nie w tem rzecz. W tym całym świecie i półświatku idzie o jedno: o władzę za wszelką cenę. Idealista Terra i realista Mangolf, kanclerz hr. Launas i jego następca Tolleben, przemysłowiec Knack i generał Passe — wszyscy oni dążą do władzy! Dyplomacja okazuje się za słaba w tej rywalizacji. Nie liczy się z nią ani wielki przemysł, uosobiony w Knacku (Stinnesie?), ani generalicja, na własną rękę przygotowująca orężną rozprawę. Myli się dyplomata niemiecki, mówiąc: „Spokojnie możemy patrzeć w przyszłość, gdyż Niemcy mają trzy przymioty, których nikt sobie w tej mierze przyswoić nie potrafi: pracę, organizację, metodę..." Kto jednak wyzyskuje te przymioty narodu? Kto je umie wyzyskać? Nie dyplomacja niemiecka, nieudolna, bezideowa, chwiejna, ulegająca byle jakim wpływom postronnym, szpiegowana, ograniczana, wiązana przez magnatów przemysłowych i wszechniemiecko-militarną kamarylę. Oni rządzą — niewidocznie, ale wszechwładnie: jątrzą stosunki europejskie, prowokują ciągłemi zbrojeniami, duszą ruch robotniczy, oplątują intrygami osobistości kierownicze, nawet — cesarza. Wielki przemysł węglowy i żelazny wyciąga macki poza granice państwa, łączy się z „wrogim" przemysłem pokrewnym, aby wspólnie robić jeszcze lepsze interesy na własnych narodach i państwach, paraliżuje wszelkie pokojowe poczynania rządów, zaprzęga w swój rydwan osobistości niewygodne, zabijając ich działalność sutemi synekurami, przekupuje urzędników ministerstw, kontroluje przez szpiegów biurka kanclerzy państwa i sekretarzy stanu, gra na ambicjach generałów, nabywa mandaty i partje parlamentarne, niweczy ustawodawstwo społeczne, przekupuje prasę — jak olbrzymi polip obsiadł Europę i wysysa chciwie jej krew. A na stanowiskach naczelnych w państwie stoją albo optymiści, którzy nie doceniają niebezpieczeństwa, albo ryzykanci, stawiający wszystko na jedną kartę, albo bezradni, bez busoli w chaosie wypadków, albo wreszcie karjerowicze, załatwiający porachunki osobiste i dążący do władzy — po trupach i szczęściu innych. Wielkiemu przemysłowi trzeba wojny, gdyż wojna ma mu dać władzę, wytrąconą ze słabych rąk mieszczaństwa i biurokracji. Ale i jeszcze ktoś wojny pożąda: młode pokolenie. Czuje ono zgniliznę panującą wokoło. Wierzy, że wojna zmiecie ją z powierzchni życia narodu na śmietnisko przeszłości, oczyści atmosferę, pozwoli wybić się jednostkom zdolnym, nowej warstwie społecznej, da — władzę. Wojna — i władza! Pokolenie to z entuzjazmem idzie na pierwsze bitwy sierpnia r. 1914 i pokotem pada na froncie. Naród ufa generałom. Synowie narodu zdobywają mu nową przyszłość, może władzę. Ale tam, daleko poza frontem, w głównej kwaterze siedzą dwaj dyktatorzy państwa, „bożyszcza" narodu, załatwiając interesa grubobrzuchych magnatów przemysłowych. Daremnie naród ponosi niesłychane ofiary. Nie wydrze władzy geszefciarzom. „Oni? — czegóż oni umierają? Jeszcze ze sto lat wierzyć będą każdemu, kto będzie mówił im o świętym obowiązku i wielkości, a w istocie pragnie tylko ich pieniędzy!..."

Katastrofa musiała przyjść.

mfr.

NOWOŚĆ!

EDWARD WALEWSKI

WIWLASY

Sonety o filomatach

zł. 1.50

Nakład
Ludwika Chomińskiego w Wilnie

Ruch teatralny

Teatr „Rybałt": „Balladyna", tragedja w 5 aktach (10 obrazach) **Juljusza Słowackiego;** inscenizacja **Stanisławy Wysockiej,** kostjumy i dekoracje **Tadeusza Gronowskiego.**

Zjawiskiem świadczącem o anormalnym stanie naszych ambicyj teatralnych jest to, że dla Stanisławy Wysockiej nie znalazło się oficjalnego warsztatu pracy. Teatry nasze toną prawie wszystkie w marazmie, szablonie, i niemasz w nich miejsca dla niespokojnego ducha wiecznej poszukiwaczki, jaką jest nasza największa tragiczka. Najmniej coprawda przejęta jest tem sama „wielka tragiczka", która, uśmiechnięta i w dobrym humorze, przyjęła mnie za kulisami swej nowej imprezy. „Że też pani ma odwagę tak wciąż zaczynać od początku?" — powiadam. „Ha, trudno, zawsze trzeba coś robić, a ja kocham młodzież". Idea teatru wędrownego jest cudowna, i warto dla niej popracować, wyrzekając się tego i owego, z czego nawet najbardziej ideowi nasi pracownicy teatralni niechętnie rezygnują. Nieść słowo prawdziwej i wielkiej poezji do najgłębszych zakamarków polskiej ziemi, gdzie tak rzadko ono dociera, czyż to nie szczytne zadanie? Wędrowanie rybałtów, którzy nie tylko pracują nad słowem i gestem, dwojgiem oręża aktorskiego, ale sami sporządzają wszystko, co się do przedstawienia odnosi, kostjumy, peruki, rekwizyty, — będzie przecież korzyścią dla naszych przedmieść i prowincji nieopłaconą, a dla samych aktorów i ich kierowniczki serdeczną zasługą i poważną nauką.

W ocenie przedstawienia nie mogłem być objektywny. Każde słowo pamiętane, każdy gest i każdy obraz przysłaniały mi wspomnienia owego niezapomnianego wykonania „Balladyny" w „Studjach" kijowskich, kiedy udział samej Wysockiej w tytułowej roli podciągnął zespół niewyszkolony, lecz namiętnie w sztuce zakochany, do wyżyn niezwykłych. W przedstawieniu obecnem zatraciło się to, co w tamtem było misterjum. Kto wie zresztą, może to młodość moja i tamte czasy kochane ubrały ową „Balladynę" w mistycyzm? Przedstawienie p. Wysockiej podaje nam „Balladynę"— ten płód genjalnego dziecka — w jak najczystszej formie słownej, bez aparatu przygniatającego to wszystko, co w teatrze jest najważniejsze. A po długich wahaniach i myśleniach przyszedłem do przekonania, że najważniejszą sprawą w teatrze jest jednak literatura. Na podkreślenie słowa i tego, co słowem wyrażone być może, polega wartość teatru. I skądże ta garstka młodzieży, prowadzona zapałem kierowniczki i sercem własnem, może dać widzowi to wrażenie jakie w istocie daje, — wrażenie wielkiej sztuki? Tylko przez podanie mu wielkiego utworu literackiego w najprostszej formie. I tutaj święci swoje prawdziwe triumfy genjusz Słowackiego, który przezwycięża nieumiejętność młodych, prymitywność środków, oporność zdeprawowanej kinem i sprośnemi bujdami publiczności. Zjawia się ten genjusz w tak nieprzepartem świetle poetyckiej aureoli, że miażdży nas swą wielkością idąc crescendo od świtania wiosny aż do niebywałej, do niczego niepodobnej i niedocenionej ostatniej sceny. Cóż za cudowne zadanie być pośrednikiem między potęgą piorunowej mocy Słowackiego a rzeszą maluczkich, dla których siła słowa może być decydującą rewelacją! Teatr wędrowny wielkie czekają zadania. Szczęść więc Boże!

Świetnie, prosto pomyślana oprawa sceniczna Gronowskiego z niektórych ustępów (zabójstwo Aliny, uczta) tworzy śliczne obrazy. Duch bajki Słowackiego doskonale się zlewa z piękną manjerą tego artysty. Rozwiązanie pewnych problematów (chata np.) odpowiada najzupełniej celom i środkom rybałtów, będąc zawsze na poziomie wysokiego artyzmu. Tym razem „Balladyna" nareszcie znalazła właściwego dekoratora.

Teatr im. Bogusławskiego: „Ciotunia", komedja w 4 aktach wierszem **Aleksandra Fredry;** reżyserja **Honoraty Leszczyńskiej,** dekoracje **Al. Kozłowskiego.**

Nie należę do ludzi, którzy się nudzą na Fredrze, choć takich jest więcej niż to im samym się wydaje. Przeciwnie, sprawia mi niezmierną satysfakcję wchłanianie tej atmosfery, którą z przedziwną maestrją umie stwarzać na scenie stary komedjopisarz. Umiejętność podłożenia pod konwencjonalny tok zdarzeń niebywałej podszewki cynizmu czaruje poprostu. Kiedy Edmund porównywa krok Ciotuni do wiewu Zefira i twierdzi, że po nim „i na błocie nikną zaraz ślady" — otwiera się perspektywa na niebywale ubłoconą wieś galicyjską; tak samo w niektórych momentach akcji wydobywa się cała amoralność i areligijność życia dworu polskiego, którą reguluje, t. zn. tuszuje, nie jakieś życie wewnętrzne, tylko tradycje i konwenanse.

„Ciotunia" należy do ciekawszych komedyj Fredry, chociaż jest raczej szkicem niż komedją samą. Spisek rezydentów na spokojność właścicieli — to zamach stanu w minjaturze, który wymykając się z rąk inicjatorów, odsłania dwa nieprzeciętne charaktery, niepodobne do innych u Fredry spotykanych. Są to Flora i Zdzisław. Flora — starzejąca się panna, ciotka Małgorzata in spe, przewrotna, zawzięta, ślepa w miłości, Zdzisław — uparcie dążący do celu wszelkiemi środkami, nawet przy pomocy fałszowania listu, — oto filary komedji. Błędem kompozycyjnym Fredry jest to, że oparłszy na tych filarach cały dramat, — bo dramatem w istocie rzeczy swej jest „Ciotunia", — za mało szczegółowo opracował czołowe charaktery. Więcej możemy się domyślać, niż wiemy, ale to co wiemy wystarcza nam: czuć w tych dwóch postaciach powiew „dramatu mieszczańskiego". Ciotunia, szambelan — to już są nasi dobrzy znajomi, nie z innych komedyj, ale z naszych dworków, do dziś dnia w tej samej atmosferze skostniałych. Któż nie znał takiej sprośnej a potulnej baby, która w pięćdziesięciu latach biega za gachami? Któż nie zna starego idjoty, który zdolny jest „przejąć list w potrzebie", ale boi się sfałszowania podpisu, półuczciwego, łasego na młode dziewczęta, — służba żeńska domu Aliny niejednoby w tym względzie pewnie mogła dopowiedzieć. Podobny do nich jest Edmund, szaławiła, któremu nie bardzo wierzymy, gdy opowiada, że go pułkownik „zmusił" do pojedynku. Natomiast bardzo wierzymy Alinie, jedynej jasnej plamie w tem „gnieździe szlacheckiem" (jasnej, bo bezbarwnej), gdy mu czyni wymówki za zalecanie się do panien z sąsiedztwa. Tu radzimy z informacjami u fraucymeru zaczekać jeszcze lat parę — będą niezawodne.

Teatr im. Bogusławskiego wystawił komedję Fredry (dla załatania zapewne dziury repertuarowej) oszczędnie pod względem dekoracyjnym i aktorskim. Odarte z imponującego wysiłku reżyserskiego i malarskiego przedstawienie to wykazało ubóstwo sił aktorskich naszego teatru popularnego w sposób może przejaskrawiony. Korzystnemi wyjątkami byli p. Romanówna w roli Aliny oraz p. Solarski jako Edmund-Astolf.

Jarosław Iwaszkiewicz.

Teatr Polski: „Otello", tragedja w 12 obrazach **Williama Shakespeare'a;** przekład **Józefa Paszkowskiego,** inscenizacja **Aleksandra Węgierko,** dekoracje i kostjumy **Karola Frycza,** ilustracja muzyczna **L. Rogowskiego.**

Wielki dramat Szekspira nic nie utracił ze swej świeżości. Rozwija się przed naszemi oczami z siłą rosnącą i zaciska się w nieubłagany węzeł, w supeł stwardniały, który tylko śmierć może rozciąć. Otello nie wiedzieć czemu zrósł się u nas z pojęciem zazdrości i namiętności. Mówi się „zazdrosny jak Otello", „wściekły jak Otello", a przecież żałosna historja tego Murzyna — to dzieje człowieka raczej cichego i ufnego w miłość, to dramat prostoduszney powagi i wiary, którą zło ludzkie zdeptało. Otello nigdy nie był zazdrosny — mówi nawet o tem Desdemona: „Słońce jego kraju musiało wypić z krwi jego demona zazdrości". Otello wierzy Desdemonie, jak wierzy w przyjaźń Jagona, jak wierzy w swój miecz i w wielkość Wenecji. Otello zostaje oszukany. Dowody, które podsuwa mu inteligentniejszy i chytrzejszy od niego Jago, są zupełnie wystarczające. Otello musi wierzyć w zdradę Desdemony. Cierpi straszliwie, cierpi nie jak człowiek obdarzony siłą namiętności, nie jak żołdak, który w szale zazdrości morduje bez namysłu wiarołomną żonę i jej kochanka, — biedny Murzyn cierpi tak jak tego chce Jago. Łotr ten dowolnie rozluźnia i zaciośnia stryk koło jego szyi. Otello słania się jak zatruty, jak człowiek śmiertelnie raniony, któremu umrzeć nie pozwalają. Gdzież jest namiętność Otella? Kocha żonę czule i głęboko, ale sam przecież mówi, że już się posunął w latach, i kto wie, czy to nie jest powodem, dla którego zdradza go młoda, pełna życia małżonka? Otello jest wyrozumiały, bo łatwo przebacza Kassjowi, Otello jest nie tylko dzielny i odważny, ale jest rozumny — jakżeby inaczej mógł być tak świetnym wodzem? Wszystkie nieszczęścia płyną z jego cnót. Kieruje się zawsze prawością swego charakteru i nie mianuje Jagona namiestnikiem mimo protekcji osób wpływowych. Człowiek ten, oszukany i zmamiony fałszywemi pozorami, przez chwilę nawet wierzyć nie może w istnienie takiego zła na świecie, jakiem są czyny Jagona. Dobroć, miłość, wierność, przyjaźń i odwaga — wszystkie te cnoty obracają się przeciw niemu i pogłębiają jego katusze. Otello kocha Desdemonę, i na tej miłości załamuje się jego życie, ale umiera mając na ustach nie imię swej kochanki, lecz imię przybranej ojczyzny. Zabił on kiedyś w Aleppo Turczyna, który ubliżał Wenecjaninowi, a teraz zabija siebie — Murzyna, który zgrzeszył przeciw swej miłości i przeciw swemu krajowi. Otello sięga tu szczytu swego romantycznego kondotjerstwa. Ten prostoduszny wojak i marynarz pada pod siłą zła jak maszt strzaskany gniewną mocą żywiołów. Ten włóczęga, który na morzach dalekich wywalczył sobie mieczem i prawością najwyższe zaszczyty i burzą swych przeżyć potrafił oczarować serce kochanej kobiety, ten gigantyczny a słaby jak dziecko Murzyn zdaje się nam chwilami znajomym z powieści Conrada. Jeśli powiedziałem, że ginie on pod przemocą żywiołu, chciałem przez to wyrazić, iż Jago działa tu nad potrzeby nikczemnie, iż wszystkie zbiegi wypadków i cała aż nierozumna nienawiść Jagona podobne są do burzy, która zatapia okręty.

Kazimierz Junosza-Stępowski zrozumiał Otella. W pierwszych scenach podkreśla świadomie prostoduszność i wesołość Murzyna, aby wręcz kapitalnie pokazać przebieg okrutnej choroby i śmierć bohatera. Inteligencja, poparta szczerym talentem, pozwoliła Junoszy nie tylko podźwignąć tę rolę, ale i nie uronić najmniejszego szczegółu z wielkiego bogactwa tej tragedji. Gniew, który owładnął Otella na widok zwady nocnej, był jeszcze gniewem człowieka zdrowego. Rany pierwszych trujących pocisków jakże wyraźnie otwarły nam potem biedne, wierne jego serce. Stał się na oczach naszych chorem, znękanem zwierzęciem, igraszką w rękach losu, aby wreszcie w godzinie śmierci dźwignąć się do swej straconej godności ludzkiej.

Samborski z wielką siłą i temperamentem narysował postać Jagona, ale zbyt wiele było realizmu i brutalności w jego grze. Powinien był mieć siłę i grozę burzy, która niszczy, i miał ją tam gdzie nie rozdrabniał się w niepotrzebnych realistycznych szczegółach. Desdemona w interpretacji p. Mazarekówny nie miała dość barwy: artystka nie bez wdzięku, ale bez bogactwa akcentów, przeszła sennie przez tragedję.

Reżyserja poprawna i staranna, dekoracje trafne i pomysłowe. Znudzona, niecierpliwa publiczność warszawska słuchała w ciszy i skupieniu wielkiej, nieśmiertelnej tragedji.

Teatr Narodowy: „Polityka i miłość", komedja obyczajowa w 4 aktach **Józefa Rączkowskiego;** reżyserja **S. Jaracza.**

Komedja p. Rączkowskiego nie powinna była znaleźć się na scenie Teatru Narodowego. Jest to płaskie, trywjalne widowisko, ani na chwilę nie sięgające wyżyn najprzeciętniejszej bodaj literatury. Autor pokazał nam operetkowe intrygi i zalecanki miłosne, podlane brudnym sosem kurjerkowej polityki. Gmach teatru został zmieniony na parę godzin w szopę, gdzie odbywają się wiecowe harce: miało się chwilami wrażenie, że jest się poprostu w sejmie. Różnica między teatrem a sejmem polega pono na tem, że ci, co w sejmie siedzą na galerji, w teatrze siedzą w krzesłach, a. ci, co w teatrze siedzą na galerji, w sejmie zajmują parter. Ale znajdziemy też inne różnice. W sejmie demagogja i agitacja są, niestety, u siebie w domu, a w teatrze są to goście nieproszeni. W sejmie można jeszcze wygłaszać kommunały i puste frazesy — w teatrze już nie wolno. W sejmie można mówić bez sensu — teatr wymaga ładu i konkretnych myśli.

Można dzisiaj — i kto wie, czy nie należy, — poruszać w teatrze zagadnienia aktualne, scena powinna być zwierciadłem życia, — ale to odbicie się świata wydarzeń musi być przełamane przez pryzmat poezji i talentu. Inaczej bowiem życie, wprowadzone do teatru, w ramach sceny wydaje się mniej warte i ohydniejsze od rzeczywistości.

Pomysł grywania sztuk autorów polskich bez względu na ich wartość jest wysoce szkodliwy dla twórczości dramatycznej. W teatrze dzisiejszym nie obowiązuje żaden poziom, zjawienie się nowego autora na pierwszej scenie polskiej nie jest już wydarzeniem literackiem, i czy to będzie pompatyczny p. Brończyk, czy płaski p. Rączkowski, — zgóry ogarnia nas nuda na sam widok afisza teatralnego, i wychodzimy z teatru zawsze pod wrażeniem nowej przykrej niespodzianki.

Gdyby bodaj w jednym Teatrze Narodowym zdołano utrzymać poziom, wyższy od poziomu ulicy! Nie walczymy tu bowiem o takie lub inne zabarwienie polityczne, o taki lub inny kierunek artystyczny, — ale o minimum wartości. Nie można, poprostu po ludzku nie wolno grać tej samej scenie Goethego i Rączkowskiego, Zorrillę i Brończyka. Słowackiego i Siedleckiego. Odbija się to nie tylko ujemnie na powadze i zaufaniu teatru, ale i na aktorach. Nie chcemy oglądać wspaniałych epizodów p. Kamińskiego w „Polityce i miłości", gdyż maestrja ich obraża nas, jak widok złotej spinki przy brudnej koszuli. Czemu najświetniejszych aktorów pcha się do tak czarnej roboty? Czemu Jaracz i Węgrzyn grają w sztuce Krzywoszewskiego, a „Achilleis" idzie bez aktorów? Można powiedzieć otwarcie p. Kamińskiemu, iż udziałem swym w przedstawieniu nie ratuje p. Rączkowskiego, a sam się dyskredytuje. Tak samo Jaracz nie powinien był reżyserować tej szmiry prowincjonalnej, bierze bowiem przez to część odpowiedzialności na siebie. Jeśli teatry warszawskie idą coraz gorzej, — wręcz katastrofalnie, — przyczyn tego szukać także należy w obniżaniu poziomu: tam, gdzie niema poezji, teatr zostanie pobity na łeb przez kino i kabaret. Wierzymy jednak, że istnieje w społeczeństwie zdrowa potrzeba prawdziwej i żywej sztuki.

Gruboskóry autor, którego wartoby ze skóry obedrzeć, gdyby miał jedną tylko skórę na sumieniu, w pracowitej pogoni za oklaskiem kończy akt trzeci odśpiewaniem „Roty!" Szkoda jeszcze, że nie wyprowadził na scenę cechów ze sztandarami i nie kazał wstać publiczności, która i tak ledwie mogła usiedzieć. Że mogli aniołowie kiedyś wstąpić do Piasta, mógł więc i p. Rączkowski z „Piasta" wystąpić, ale dlaczego zaraz wstąpił prosto do teatru? — Jeśli wszyscy politycy wezmą się do sceny, to zobaczymy niebawem sztukę gen. Sikorskiego p. t. „Warszawka i Krakusik" z muzyką Reynela, „Złoty wiek rycerstwa" Władysława Grabskiego z muzyką przyszłości, „Brata marnotrawnego" Huberta Lindego, „Od poranka do północy" Artura Śliwińskiego, „Tajemniczego Dżemsa" Ignacego Rosnera i t. d. Skoro sztuki autorów naszych nie bardzo się udają, możeby pomyśleć o pracy kolektywnej lub poprostu z paru słabych sztuk robić jedną dobrą. Myślę, że gdyby się wszystkie postacie „Miłości i polityki" wpuściło do scenarjusza „Hetmana Żółkiewskiego" i dodało jeszcze parę osób z „Pana ministra" — widowisko takie niby nie straciło na sensie, a wiele zyskało na barwności. Mimo bowiem dobrego epizodu Kamińskiego, humoru p. Ordon-Sosnowskiej i swady Jaracza, sztuka p. Rączkowskiego działa jak ów sławny środek medyczny „Tamar Indienne", który „łagodnie przeczyszcza nie przerywając snu".

Antoni Słonimski.

„Ktobądź" w Ameryce

Trzy sceny z moralitetu Hofmannsthala „Ktobądź", wystawionego w Kalifornji w inscenizacji Ryszarda Ordyńskiego

Ankieta „WIADOMOŚCI LITERACKICH"

„Jak się uczyli wybitni pisarze współcześni?"

W następnych numerach odpowiedzi m. in.:

Boya-Żeleńskiego, Piotra Choynowskiego, Juljana Ejsmonda, Ferdynanda Goetla, I. K. Iłłakowicz, Jarosława Iwaszkiewicza, Juljusza Kleinera, Zofji Nałkowskiej, Antoniego Słonimskiego, Brunona Winawera, Władysława Witwickiego, Józefa Wittlina, Tadeusza Zielińskiego.

Kronika muzyczna

Melcer — „Warjacje" Maklakiewicza — „Muzyka" — Welska i Konopkowa.

Jubileusz trzydziestoletniej pracy Henryka Melcera przypomniał publiczności polskiej kompozytora, którego zbyt mało znamy. Niezmiernie charakterystyczną cechą jest dla nas, narodu pesymistów, nieokreślona nieufność, jaką żywimy do polskich pracowników na niwie artystycznej. I nieprawdą jest, że dopiero marka zagraniczna sprawia, iż zaczynamy cenić naszych własnych kompozytorów. Wszak londyńska nagroda Statkowskiego nie uczyniła go ani na jotę popularniejszym w kraju, któremu ofiarował wszystkie siły w ciężkiej pracy, niestety, nie kompozytorskiej. Nieufność krytyki naszej i publiczności zmusza najzdolniejszych nieraz twórców do zamilknięcia. Dopiero usilna praca pewnych pełnych zasługi jednostek i ogólne wezbranie poczucia narodowego po odzyskaniu niepodległości sprawia, że odbywamy rewizję naszych uprzedzeń. Coraz częściej się mówi o wielkich talentach młodo zmarłych Zarębskiego i Pankiewicza, charakterystyczna jest ciągła zmiana na lepsze stosunku do genjalnego Moniuszki, ciekawy prąd oddania należytego hołdu Romanowi Statkowskiemu. Chłód publiczności, niechęć artystów, konieczność ciężkiej pracy na chleb powszedni, — to są okoliczności, które nie pozwoliły Melcerowi w należytej mierze okazać swego talentu. Talent ten, eklektyczny, ale niezmiernie szlachetny, któremu przystoją raczej regjony dramatu muzycznego, nie miał nigdy pola do należytego rozwoju. Opery niewystawione, pieśni niespiewane, koncerty, grywane tylko przez uczniów... (Szczęśliwym wyjątkiem był, zdaje się, Friedmann). Czyż to nie może zniechęcić? A talent ten rozwijał się, rósł; — gdy porównamy np. wczesne utwory z ogłoszoną niedawno (tylko w „Pani"!) kolendą, zobaczymy, jak mnożyły się środki wyrazu.

Wykonany na koncercie jubileuszowym fragment z „Marji" świadczy bardzo silnie o zaznaczonych możliwościach dramatycznych Melcera. Fatalne okoliczności konkursu Wołodkowicza, dzięki którym mamy kilka dobrych oper polskich na ten sam temat, przez co oczywiście jedna tylko z nich może być w repertuarze, — sprawiają, iż nie prędko zapewne zobaczymy tę operę na scenie. Wykonanie estradowe niezupełnie nadaje się dla wybranego fragmentu; ale sama barwa orkiestry i operowanie zespołem tak plastycznie zastępowały akcję, iż poprostu widziało się tragiczną scenę uprowadzenia Marji przez maski. Dramatyczne zabarwienie noszą również najlepsze pieśni; liryzm mniej zdaje się odpowiada charakterowi kompozytora.

Najswobodniej czuje się Melcer w dziedzinie fortepianu. Zna świetnie wszystkie arkana tego niepojętego lewjatana i operuje niemi doskonale. Koncerty jego, mniej może głębokie od innych kompozycyj, tak są przejrzyste, tak świetne w formie, tak bliskie wreszcie sercu polskiemu, że naprawdę żałować należy, iż nasi pianiści, uczący się różnych Saint-Saëns'ów i Palmgrenów, nie grają nigdy utworów Melcera, stojących na tak wysokim poziomie.

*

Na jednym z koncertów popołudniowych zaznajomiliśmy się z „Warjacjami symfonicznemi" młodego kompozytora. Maklakiewicza. Świetna to zapowiedź. Największą wartością, jaką dotychczas operuje Maklakiewicz, jest rzecz u nas najrzadsza, a przeto niezmiernie cenna. Jest to duża wiedza. Nic z dyletantyzmu, nic z efekciarstwa, — ale też nic szarpania się, nic z walczenia młodości z upornym żywiołem. „Warjacje" sprawiają wrażenie czegoś nazbyt dojrzałego jak na pierwszy opus. W tem może właśnie kryje się niebezpieczeństwo dla Maklakiewicza. Piękny temat nawiązuje do polskich tradycyj (Moniuszko, Żeleński), tradycje te znikają w następnych warjacjach, aby ustąpić miejsca wpływom rosyjskim, nienazbyt jednak dobitnie się zarysowującym. Bardzo przyjemną w naszych czasach cechą „Warjacyj" jest skłonność do operowania szeroką kantyleną; romantyczna fraza Maklakiewicza wpada jednak często w frazeologję — w tem leży drugie jego niebezpieczeństwo. Debjut wywołał wrażenie wielce korzystne, mimo nieszczególnego przygotowania orkiestry (fuga!).

*

Nr. 11—12 zeszyt „Muzyki" odznacza się wybitnie ciekawą treścią i bardziej dobitną jednolitością. Nie zawsze bowiem mogliśmy zrozumieć usilną chęć pogodzenia wszystkich i dogodzenia wszystkim, jaką — w szlachetnej zresztą intencji — powodowany był redaktor. Pod tym względem ostatnie sprawozdanie z życia muzycznego Warszawy — bardzo dyskretne i bardzo sprawiedliwe — zdaje się być bardziej zdecydowane. Materjał świetnie ułożony, a pierwszorzędne nazwiska swoje i obce czynią to pismo jednem z najpoważniejszych w Europie. Ciekawa jest humoreska Schrekera, złożona z wycinków recenzyj o nim, przejrzysty i pouczający artykulik Caselli o harmonji nowoczesnej, wreszcie piękne — karty poświęcone pamięci Statkowskiego przez Stanisława Niewiadomskiego i Karola Szymanowskiego. Należałoby tylko przeprowadzić dokładniejszą korektę, zwłaszcza w tekście francuskim.

*

Szkoła p. Mieczyńskiej i niezwykły przykład p. Hulanickiej stają się rozsadnikami sztuki tanecznej w Polsce. Po doskonałym popisie p. Katarzyny Pastorskiej widzieliśmy tańce młodych artystek pp. Welskiej i Konopkowej. Oczywiście nie stoją one jeszcze na poziomie techniki swych nauczycielek, ale braki te okupują młodością i wdziękiem. Niepotrzebnie przecież dają się krępować b. brzydkiemi kostjumami Norblina.

ji.

Korespondencja

W obronie Lenartowicza.

Do redaktora „Wiadomości Literackich".

W nr. 102 „Wiadomości Literackich" w recenzji pióra p. Napierskiego z książki trzech poetów, Standego, Broniewskiego i Wandurskiego, — znajduje się na końcu fragment, przeciwko któremu pragnąłbym — i to jak najgoręcej — zaoponować. Czytamy tam: „A przytem są już zbyt niewybrednie katarynkowe (wiersze Wandurskiego) i drobnomieszczańsko-idylliczne; niejedna szanująca się babcia mruczyćby je mogła przy kołowrotku. Przypominają wytrzepanego trochę Lenartowicza (bez jego poezji). Co do mnie nie dziwiłbym się zresztą tym, którzyby nad Wandurskiego przekładali Lenartowicza — autentycznego".

Słowa te świadczą, iż p. Napierski absolutnie nie zdaje sobie sprawy, czem był Teofil Lenartowicz. Lekceważące odezwanie się o jednym z najczystszych poetów, jakich nam dała Opatrzność, w ustach zdolnego skądinąd krytyka dotyka boleśnie wszystkich miłujących swój fach wierszopisów — tem dziwniej, iż sąd ów znalazł się na łamach „Wiadomości Literackich", których bezstronność i staranne motywowanie słusznych kryterjów raczejby je wskazywały na odpowiedni teren do oddania hołdu zapoznanemu do pewnego stopnia największemu poecie polskiemu drugiej połowy zeszłego stulecia.

Jarosław Iwaszkiewicz.

*

M. w Paryżu. I tę krytykę przytoczyliśmy.

M. W. Wiersze w „Wiadomościach" drukujemy tylko wyjątkowo.

B. Pał. Polecamy „Encyklopedję" Trzaski, Everta i Michalskiego (ukazał się właśnie zeszyt 2).

NOWOŚĆ!

JOSÉ ZORRILLA

DON JUAN TENORIO

Dramat fantastyczny w 7 aktach

Przekład wolny

STANISŁAWA MIŁASZEWSKIEGO

CENA ZŁ. 5.—

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

NOWOŚĆ!

GEN. BRONISŁAW GRĄBCZEWSKI

WSPOMNIENIA MYŚLIWSKIE

Z PORTRETEM AUTORA

i 25 ILUSTR.

CENA ZŁ. 4.—

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

JAN BRZECHWA

OBLICZA ZMYŚLONE

Poezje

Cena zł. 3.—

Księgarnia Gustawa Szylinga

Tydzień bibljograficzny

rejestruje całkowitą produkcję wydawniczą następujących firm: H. Altenberg, M. Arct, Bibljoteka Dzieł Wyborowych, „Bibljoteka Polska", Ludwik Chomiński, Wacław Czarski i S-ka, „Czytaj", Gebethner i Wolff, F. Hoesick, Krakowska Spółka Wydawnicza, Książnica-Atlas, Jakób Mortkowicz, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Bernard Połoniecki, Zygmunt Pomarański i Spółka, „Renaissance", Trzaska, Evert i Michalski, E. Wende i S-ka, Wojskowy Instytut Naukowo - Wydawniczy.

Powieść, nowela

Bibljoteka Dzieł Wyborowych. Redaktor **Feliks Gadomski.** Tom III. **Józef Bédier.** Dzieje Tristana i Izoldy. Odtworzone wedle dawnych legend i poematów. Przełożył **Boy - Żeleński.** Warszawa, (1925); str. 151 i 5nl. Zł. 1.90 (pł.pł.), 2.20 (pł.). — Tłumacz pisze w przedmowie: „Legenda Tristana i Izoldy jest najpiękniejszym, najgłębszym arcy-poematem miłości, jaki ludzkość kiedykolwiek wydała". Opracowanie Bédiera jest doskonałe w swoim umiarze artystycznym.

Bibljoteka Przygód Romantycznych. Redaktor **Ludwik Fiszer.** Tom XIII. **Aleksander Dumas** (ojciec). Pamiętniki lekarza. Naszyjnik królowej. Powieść. Tom I. (Okładka **Kamila Mackiewicza).** Warszawa, E. Wende i S-ka, (1925); str. 153 i 1nl. Zł. 0.95. — Po zakończeniu „Józefa Balsama" mamy początek innej słynnej powieści znakomitego pisarza.

Tadeusz Ritner. Most. Powieść. Warszawa, „Bibljoteka Polska", 1926; str. 219 i 1nl. Zł. 3.20. — Ostatnia powieść Rittnera; wychodzi po raz pierwszy w wydaniu książkowem.

Poezja

Jan Kasprowicz. Mój świat. Pieśni na gęśliczkach i malowanem szkle. Warszawa, „Bibljoteka Polska", 1926; str. 324. Zł. 7.80. — Każdy nowy tom poezyj Kasprowicza stanowi wydarzenie literackie: ten na specjalną zasługuje uwagę ze względu na świat, który jest jego tematem, ze względu na formę, doprowadzoną do mistrzowstwa prostoty, ze względu na głęboki ton uczuciowy. Ludzie, wierzenia, legendy, cały folklor Podhala odbija się w sercu poety jak w przeczystej krynicy.

Anna Słonczyńska. Boże gniazdko. Okładka pomysłu **Kazimiery Rouba.** Wilno, Ludwik Chomiński, 1926; str. 27 i 1nl. — Muzyka słońca. Okładka pomysłu **Kazimiery Rouba.** Tamże; str. 70 i 2nl. Razem zł. 6. — Dwa tomy wierszy utalentowanej poetki.

Dramat

José Zorrilla. Don Juan Tenorio. Dramat fantastyczny w 7 aktach. Przekład wolny **Stanisława Miłaszewskiego.** Warszawa, Gebethner i Wolff, 1925; str. 191 i 1nl. i ryc. 4. Zł. 5.— Piękny ten utwór, ukazujący się w znakomitym przekładzie Miłaszewskiego, ozdobiony jest szeregiem fotografij z przedstawienia w Teatrze Narodowym.

Plastyka

Stanisław Wyspiański. Dzieła malarskie. Tekst napisali: **Stanisław Przybyszewski** i **Tadeusz Żuk - Skarszewski.** Indeks opracował dr. **Stanisław Świerz.** Książka ta została wydana z inicjatywy i pod kierunkiem Tow. Artystów Polskich „Sztuka" jako tom II jej wydawnictw. Redagowali ją prof. **Wł. Jarocki** i prof. **Ign. Pieńkowski.** (Warszawa), „Bibljoteka Polska", 1925; str. 131 i 1nl. i ryc. 86. Zł. 100.—, 120. — (pł.) — Wspaniała publikacja, wydana w wielkości dużego kwarta na kredowym papierze, zawiera 193 reprodukcje, z tego połowa— jako osobne plansze całokartkowe (23 w technice czwórbarwnej, 73 w rotograwjurze). Dokładny indeks wszystkich znanych prac Wyspiańskiego obejmuje 554 numery. Jest to bezsprzecznie najwybitniejsze wydawnictwo z okresu plastyki, jakie dotąd ukazało się w Polsce; pod względem jakości reprodukcyj i szaty zewnętrznej stanowi ostatnie słowo techniki drukarskiej.

Geografja, krajoznawstwo, podróże

Ferdynad Goetel. Przez płonący Wschód. Wrażenia z podróży. Z 80 ilustracjami. Wydanie drugie. Warszawa, Gebethner i Wolff, (1925); str. 277 i 3nl. Zł. 10.— Frapujące dzieje ucieczki młodego pisarza z Taszkentu przez Indje do Polski.

Gen. **Bronisław Grąbczewski.** Wspomnienia myśliwskie. Z portretem autora i 25 ilustracjami. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1925; str. 104 i 2nl. i ryc. 1. Zł. 4.— Nowa praca znakomitego podróżnika rozpada się na następujące rozdziały: „Polowanie na jaki", „Łowy na tygrysy w Turkiestanie i na Amurze", „Zwierzostan Pamiru", „Dziki w Azji środkowej", „Polowanie na ptactwo w Azji środkowej", „O zmyślności dzikich zwierząt".

ŻYCIE TEATRU

jedyny polski tygodnik poświęcony kulturze teatralnej

rozpoczyna czwarty rok wydawnictwa

Pismo to, ukazujące się pod redakcją Wiktora Brumera, ogłosiło szereg prac wybitnych teatrologów, pisarzy dramatycznych, krytyków, reżyserów i aktorów.

Prenumerata kwartalna zł. 5.—, roczna — zł. 18.— wraz z przesyłką, konto czekowe P. K. O, w Warszawie 7 799.

Adres redakcji i administracji: Emilji Plater 33 m. 5, tel. 112-11 W administracji są do nabycia roczniki z 1925 r. w cenie zł. 15.—

WARSZAWA 1925

u F. HOESICKA

Cena zł. 6.—

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

NOWOŚĆ!

M. WANKOWICZ

SZPITAL W CICHINICZACH

opowiadanie wojenne, 15 ilustracyj

Cena zł. 0.95

STRZĘPY EPOPEI

II nakład

Cena zł. 1.80

Tow. Wyd. „RÓJ", sp. z ogr. odp. Warszawa, Kredytowa 1

Miscellanea

L. Molendzińska - Wernerowa. Gry i zabawy. Z 60 nutami i rysunkami w tekście. Warszawa, „Bibljoteka Polska", 1925. str. 153 i 1nl. Zł. 5. — Myślą przewodnią tej pracy była chęć dostarczenia ochronom ćwiczeń, kształcących drobną dziatwę pod względem sił fizycznych i duchowych. Wszystkie nowe gry i zabawy zostały przerobione z dziećmi celem wypróbowania ich wartości praktycznej.

Książki dla młodzieży

Bianca Maria. Legendy o kwiatach. Przełożyła z włoskiego **Zuzanna Rabska.** Warszawa, M. Arct, 1926; str. 153 i 7nl. Zł. 10. — Na całość książki złożyło się dwadzieścia pięć opowiadań o kwiatach, które prawie wszystkie powstają z dobrych lub złych uczynków dzieci. Każdą legendę poprzedza barwna rycina.

Jan Grabowski. Jagusia Machajówna. Opowiadanie. Z rysunkami **A. Gramatyka-Ostrowskiej.** Warszawa, M. Arct, 1926; str. 122 i 4nl. Zł. 6.— (pł.pł.). — Jest to bajka ludowa o robotnej babie, leniwym chłopie, ich córeczce Jagusi i wędrowaniu całej rodziny przez podwodne państwo królewny wód — słonecznym szlakiem do nieba.

Profesor Zubrewicz i jego trzej wychowańcv. Z pamiętników hultaja. Napisał **Stanisław Kazuro.** Warszawa, M. Arct, 1926; str. 114 i 6nl. Zł. 3. — Jest to pierwsza książka literacka znanego muzyka i profesora konserwatorjum warszawskiego. Autor opowiada nam przygody szkolne trzech chłopców, w gruncie rzeczy sprytnych hultai, głównie na terenie Wilna w czasach niewoli rosyjskiej. Przygody te — to złośliwe wycieczki przeciwko władzom najezdniczym, w których widziano przedewszystkiem znienawidzonych ciemiężycieli.

F. Lazarusówna. Mali robotnicy. Warszawa, F. Hoesick, (1925); str. 120. Zł. 5.— (pł.pł.). — Myszki w fartuchach. Tamże; str. 128. Zł. 6.— (pł.pł.). — Świat krasnoludków. Tamże; str. 120. Zł. 5.— (pł.pł.).— Obrazki z życia dzieci w szkole.

Dzień Krysi. Napisała i narysowała **Hanna Mortkowiczówna.** Warszawa, Tow. Wydawnicze, 1926; str. 14nl. Zł. 1.20. — Miła książeczka dla najmłodszych.

Irena Pokrzywnicka. ABC. Warszawa, „Bibljoteka Polska", (1925); str. 26nl. Zł. 8.50. — Pięknie zdobione abecadło dla najmłodszych.

Władysław Umiński. Wybór powieści dla młodzieży. Wydanie jubileuszowe z portretem autora. Tom VI—VII. Zwycięzcy oceanu. Z 7 rycinami **E. Bridge'a.** Wydanie czwarte przejrzane przez autora. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1925; str. 399 i 1nl. Zł. 7.50 (pł. pł.). — Jedna z lepszych powieści doskonałego pisarza dla młodzieży.

Władysław Umiński. Wybór powieści dla młodzieży. Wydanie jubileuszowe z portretem autora. Tom IX. Od Warszawy do Ojcowa. Przygody w podróży po kraju. Z 11 ilustracjami **Z. Grabowskiego.** Wydanie czwarte przejrzane przez autora. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1925; str. 326. Zł. 6.— (pł.pł.). — Zajmująca powieść Umińskiego daje szereg wiadomości przyrodniczych i krajoznawczych w formie lekkiej, przystępnej, nienużącej.

Ludwik Wiszniewski. Rycerz tępej ostrogi. Z 24 rysunkami i okładką **St. Bobińskiego.** Warszawa, Gebethner i Wolff, 1926; str. 63 i 1nl. Zł. 4.— (pł.pł.). — Zajmująca książka, ładnie ilustrowana, napisana jest stylem łatwym i miłym.

Zofja Żurakowska. Skarby. Powieść dla młodzieży. Warszawa, J. Mortkowicz, 1925; str. 180 i 2nl. Zł. 6.— (pł.pł.). — Motto książki brzmi: „Tam skarb mój, gdzie serce moje".

!TYLE, CO TRAMWAJ!

książka w prenumeracie 15 gr.

Nie kłamać—bawiąc, nie nudzić—ucząc.

BIBLJOTEKA HISTORYCZNO-GEOGRAFICZNA

T-wo Wyd. Rój, sp. z og. od. Warszawa, Kredytowa nr. 1. P. K. O. 9880

w kwartale I 1926 r.

(Gwiazdką zaznaczono odpowiednie dla młodzieży).

1. W. MELCER - RUTKOWSKA. Z cyklu *„Słynni kochankowie": „Naga nimfa i jednoręki cyklop".*

2. AD. NOWICKI. Z cyklu *„Zmierzch Habsburgów": „Tajemnica pochodzenia Franciszka Józefa".*

3. J. TUWIM Z cyklu satanicznego: *„Tajemnice amuletów i talizmanów".*

* 4. DR. OL. GÓRKA. Z cyklu *„Jak umierali wielcy ludzie:". „W majestacie śmierci".*

* 5. J. BANDROWSKI. Z cyklu *„Pioruny i błyskawice Wschodu": „Skanderbeg — lew Albanji".*

* 6. P. LOTI. Z cyklu przeżyć osobistych p. t. *„Na krwawych piaskach Afryki": „Biały burnus i czarne oczy".*

* 7. J. EJSMOND. *„Zabobony myśliwskie".*

* 8. PROF. DR. ST. NOWAKOWSKI. Z cyklu *„Zdobywcy i odkrywcy świata": „Kapitan Scott".*

* 9. L. CHOROMAŃSKI. *„Z tronu na szafot".*

10 ST. CIESZKOWSKI. *„Piękna Doboszanka".*

* 11. W. SIEROSZEWSKI. Z cyklu *„Na szlakach świata": „Ciupasem na Syberję".*

* 12. ST. STRUMPH-WOJTKIEWICZ. Z cyklu *„Cmentarze na dnie oceanów": „Korsarze 1914 r."*

13. M. Kuncewiczowa. *„Tseu - Hi, władczyni bokserów* (1836—1909)".

Prenumeratę kwartalną

1 zł. 95 gr.

przyjmują w całej Rzplitej wszystkie urzędy i agencje pocztowe.

Obszerny prospekt całoroczny oraz spis licznych i ciekawych premjów dla naszych prenumeratorów - patrz w książce nr. 12, J. Tuwima „Tysiąc dziwów prawdziwych", którą nabyć można wszędzie za 25 groszy.

Trzecia wielka rewja sezonu 1925/26

p. n.

„Od A do Z"

w 2 częściach (32 obrazach)

TEATR

Codziennie 2 przedstawienia o g. 7[15] i 9[30]

Nowy Świat 63 (dawne „Rococo")

NOWOŚĆ!

HENRYK WROŃSKI

Z CHWIL, KTÓRE ZBIEGŁY

POEZJE

CENA ZŁ. 3.80

GEBETHNER I WOLFF

SCENA POLSKA

Organ Związku Artystów Scen Polskich

Ukazał się zeszyt trzeci r. b. i zawiera pracę *Ad. Zagórskiego* p. t. „Zagadnienie sceny i zagadnienie widowni" czerpującą kronikę, bibljografję i materjały teatralne za kwartał II r. b.

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa

Nr. 11 — 12 (listopad — grudzień) miesięcznika

MUZYKA

pod redakcją MATEUSZA GLIŃSKIEGO

zawiera na wstępie nieznany wiersz M. KONOPNICKIEJ o Chopinie oraz następujące artykuły: X. H. FEICHTA — „Giovanni Palestrina" (1525 — 1925), C. JELLENTY — „Stefan Żeromski wobec piękna muzycznego", A. CASELLA — „Zagadnienia harmonji nowoczesnej", A. CHYBIŃSKIEGO — „Paweł Dukas", F. SCHREKERA — „Mój autoportret" (humoreska), B. SZARLITA — „Od Jana Straussa do Leona Falla", A. RIMSKIEGO-KORSAKOWA — „W obronie prawdy" (list otwarty), St. NIEWIADOMSKIEGO — „Życie i twórczość R. Statkowskiego", K. SZYMANOWSKIEGO — „Pamięci Romana Statkowskiego".

W dziale bieżącym oprócz „Impresyj muzycznych" M. Glińskiego, sprawozdań z kraju (Warszawa, Kraków, Lwów, Poznań) i zagranicy (Berlin, Paryż, Wiedeń, Bukareszt, New-York), zamieszczone zostały następujące obszerne rubryki: „Nowe wydawnictwa", „Przegląd prasy", „Kronika", „Muzyka polska zagranicą", „Rozmaitości" i in.

W dodatku nutowym — nieznany „Prelude" ś. p. ROMANA STATKOWSKIEGO. Numer zawiera 90 str. (25 ilustr.) i kosztuje zł. 2.50. Adres redakcji i administracji: Warszawa, Kapucyńska 13. W administracji są do nabycia nr. nr. 1, 2, 3, 4/5, 6, 10. — Nr. 7 — 9 („Muzyka współczesna", monografja zbiorowa) w przygotowaniu.

ToTo

TYGODNIOWY MAGAZYN ILUSTROWANY

POD REDAKCJĄ

JULJANA TUWIMA

TREŚĆ nr. 5

Pożar szesnastopiętrowego magazynu — Pieniądz i apetyt czyli ekonomja a gastronomja — Dwa potwory — Czarna gwiazda — Skradzione bakcyle — Pociąg-jeżozwierz — Gabinet osobliwości — Telefonopat a czyli granda na odległość — Pasja węchu — Obłąkani artyści — A propos mody — Tutti frutti — Jak mandaryn wykupił Sylwję — Dempsey, czyli box + bluff — Walka cenzury z Fryderykiem Schillerem — Trochę śmiechu... — Rozrywki

Redaktor i wydawca: Juljan Tuwim. — Redakcja i administracja: Warszawa, Boduena 1 m. 2. tel. 223-04; konto czekowe w P. K. O. nr. 12.222.

Prenumerata z przesyłką pocztową w stosunku zł. 8 kwartalnie; numer pojedyńczy grooszy 80. — Ogłoszenia: za wiersz milimetrowy jednoszpaltowy za tekstem groszy 50. w tekście groszy 80.

25% zniżki

DLA PRENUMERATORÓW „WIADOMOŚCI LITERACKICH"

UKAZAŁ SIĘ GWIAZDKOWY (42) ZESZYT „SKAMANDRA"

I ZAWIERA:

*JULJAN TUWIM: Wieczorny wiersz.—JAROSŁAW IWASZKIEWICZ: Nocleg w górach. — KAZIMIERZ WIERZYŃSKI: Fanfara na cześć Karola Hoffa, rekordzisty w skoku o tyczce. — JERZY LIEBERT: Ptaszki św. Franciszka. — MIECZYSŁAW JASTRUN: Wola. — LUCJAN SZENWALD: Warszawa. — ANTONI SŁONIMSKI: Pragnienie. — JULJAN BRONOWICZ: Uwagi na marginesie (z powodu „Przedwiośnia" Żeromskiego). — ROMAN KOŁONIECKI: Epopea. — IRENA TUWIM: Uśmiech. — F. T. MARINETTI, przełożył EDWARD BOYÉ: Ognisty dobosz (akt III). — SERGJUSZ JESIENIN, przełożył WŁADYSŁAW BRONIEWSKI: *********.*

Okładka TADEUSZA GRONOWSKIEGO

Cena zeszytu zł. 3.—

Prenumerata wraz z przesyłką w stosunku zł. 8.— kwartalnie

Redakcja: Złota 8 m. 5, tel. 132-82

Administracja: Boduena 1 m. 2, tel. 223-04, konto w P. K. O. 8.515

BIBLJOTEKA WESOŁYCH OPOWIEŚCI

DA WAM: w odstępach dziesięciodniowych 9 książek po sto kilkadziesiąt stron każda, oraz 9 ciekawych i obszernych dodatków, zawierających bogaty dział teatralny i rozrywek umysłowych, p. t. „NASZA ILUSTRACJA"

za **4 zł. 50 gr.** kwartalnie

półrocznie (18 tomów) — **9** zł., rocznie (36 tomów) — **18** zł.

Za tę śmiesznie niską cenę będziecie mieli najserdeczniejszego przyjaciela, który serce wasze, ściany domu waszego obdarzy pogodą, radością i weselem

W pierwszym kwartale 1926 r. ukaże się:

„Pochwała wesołości": *Jan Ostrowski.* — „Miss Ket, morderca", nowele: *Z. Kleszczyński.* — „Z notatnika karykaturzysty" (z ilustracjami): *Jerzy Szwajcer (Jotes).* — „Księga snobów": *M. Thackeray.* — „Kuba", powieść: *St. Strumph-Woytkiewicz.* — „Słoneczny domek": *M. H. Szpyrkówna.* — „W poszukiwaniu białego kota": *Barry Pain.* — „Republika niemych": *Saint-Granier* i *Max Aighion*

Prenumeratę wpłacać należy na konto P. K. O. nr. 12.155, lub przekazem pocztowym na adres:

BIBLJOTEKA WESOŁYCH OPOWIEŚCI

WARSZAWA, ulica Grzybowska 11

PRENUMERATA z przesyłką 6.50 złp. kwartalnie, zagranicą 2 dol. — OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm, szerokości 1 szpalty 30 groszy za tekstem; 50 groszy w tekście. Kolumna posiada 6 szpalt.

REDAKCJA: Złota nr. 8, m. 5, tel. 132-82, poniedziałki, środy i piątki od godz. 16—17. ADMINISTRACJA: Boduena 1. m. 2, tel. 223-04, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9—18. Konto pocztowe nr. 8515.

Zakłady Graficzne B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, Chmielna 61. Tel. 46-73.

Redaktor: MIECZYSŁAW GRYDZEWSKI.
Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYDZEWSKI